

MORZE

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



ZESZYT 12

GRUDZIEŃ 1937

Fot. Van Qudtshoorn A. R.

11 LISTOPADA

Radosna rocznica odzyskania niepodległości, dzień 11 listopada, najokazalej obchodzony był w Warszawie.

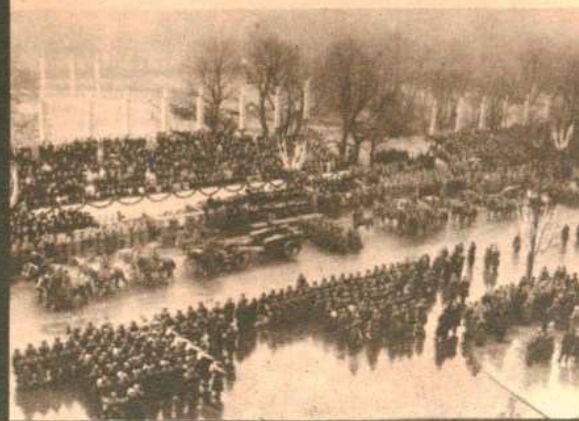
Przed Marszałkiem Śmigłym-Rydzem predefilowała armia polska. Przeciagnęły oddziały piechoty, kawalerii, artylerii, wojsk technicznych.

Z wiarą i ufnością patrzyły oczy żołnierskie w oczy swego Wodza, a tłumy publiczności witały z entuzjazmem każdy przeciągający oddział.

Bo w czasach siły i brutalnej przemocy — mocny żołnierski krok, głucho dudnienie armat, broni pancernej — budzi świadomość bezpieczeństwa i pozwala ufnie patrzeć w przyszłość.

Znaleziono na: www.magemar.com.pl

MG
MAGEMAR



M O R Z E

ORGAN LIGI MORSKIEJ I KOLONIALNEJ

Nr. 12

Warszawa, grudzień 1937 r.

Rok XIV

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



Walka o kolonie

Walka o kolonie wre w całej pełni. Włochy podbiwszy Abisynię — przystąpiły od razu do intensywnej eksploatacji tego zasobnego we wszelkie surowce kraju. Japonia dawną swoją metodą zdobywa sobie zbrojną ręką nowe tereny na Dalekim Wschodzie. Niemcy prowadzą bardzo silną akcję na rzecz odzyskania swych dawnych kolonii w Afryce. W Lidze Narodów dyskutuje się ciągle na temat zagadnień surowcowych i migracyjnych. Polska należąca do krajów „głodnych” pod względem surowcowym, rozporządzających ograniczonymi możliwościami kierowania swej emigracji na tereny zamorskie — domaga się również zmiany tego anormalnego stanu rzeczy.

Przedstawiciele Rządu Rzeczypospolitej niejednokrotnie już w swoich wystąpieniach na forum międzynarodowym dawali światu do poznania, że dzisiejszy stan rzeczy, polegający na egoistycznym systemie dysponowania źródłami surowcowymi i zamykaniu granic dla imigracji przez kraje przesycone — nie da się na dłuższą metę utrzymać.

Jedynie polityka szeroko pojętych „drzwi otwartych” mogłaby zapewnić światu normalny rozwój i rozkwit gospodarczy — polityka egoistyczna natomiast doprowadzać musi do konfliktów. Narody głodne, jak wskazują na to przykłady choćby Japonii i Włoch, chwytają się niekiedy ostateczności — jaką jest otwarta walka.

Celem wyjścia z tej sytuacji, państwa, dysponujące nadmiarem posiadanych terytoriów kolonialnych, powinny zdobyć się na kompromis i ze swej strony zaproponować rewizję dzisiejszego stanu posiadania w koloniach.

Nie podobna bowiem upierać się nadal przy obrobie takiego stanu rzeczy, w którym jedne kraje cierpią na brak niezbędnych surowców dla swego przemysłu i zmuszone są do nabywania ich na wagę złota — inne zaś, przesycone — nie są nawet zdolne do bardziej intensywnej eksploatacji bogactw surowcowych swych kolonii, które pozostają tam niewyzyskane.

Ożywienie, jakie panuje w dziedzinie stosunków i zagadnień surowcowo - kolonialnych na arenie

międzynarodowej musi w pierwszym rzędzie obchodzić i nas Polaków.

Jesteśmy reprezentantami narodów „głodnych”. Przy rewidowaniu obecnego stanu rzeczy nie może zabraknąć również głosu Polski. Prawa nasze do bezpośredniego dostępu do surowców kolonialnych powinny się stać równe prawom innych państw. Jako państwo o trzydziestu pięciu milionach obywateli — musimy brać udział w decydowaniu o tak ważnych sprawach dla rozwoju gospodarstw narodowych, jakimi są zagadnienia kolonialne.

Setki naszych obywateli znajduje się na terenach kolonialnych, dziesiątki z nich posiadają w koloniach własne plantacje i przedsiębiorstwa.

Nasze gospodarstwo narodowe odbudowuje się w szybkim tempie po zniszczeniach wojny światowej i wojny z bolszewikami. Rozwój ten byłby jeszcze większy, jeszcze pomyślniejszy — gdybyśmy w sposób bezpośredni i dostateczny, we własnym obrocie monetarnym, posiadali dostęp do tych surowców, które drzemą, jak wspomnieliśmy wyżej, w koloniach.

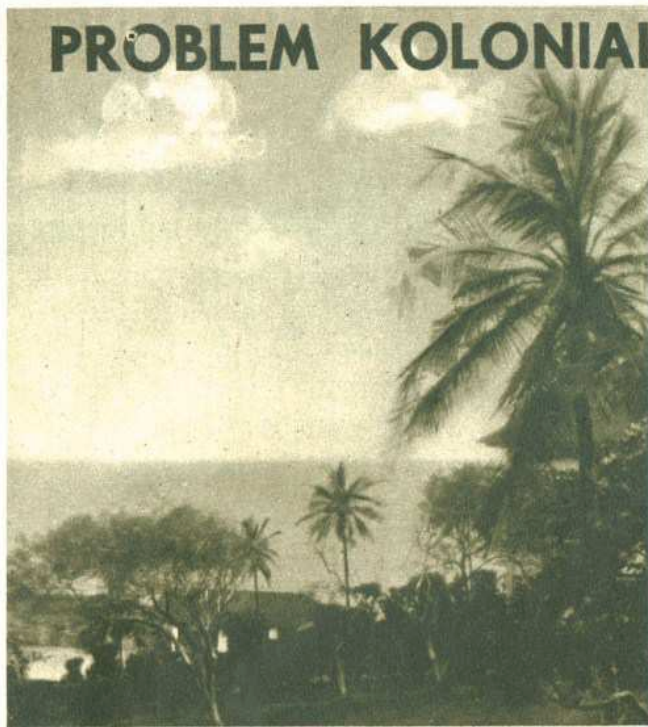
Chcemy pełnego miejsca pod słońcem. Nie chcemy opłacać haraczu z tego tylko tytułu, że podział kolonii jest dzisiaj niesprawiedliwy. Domagamy się naprawienia zła obecnego i prawdziwego otwarcia drzwi do kolonii i jej niewyzyskiwanych zasobów.

O tym, że słuszność mamy całkowitą — świadczy chociażby stanowisko przywódcy socjalistów angielskich p. majora R. C. Attlee, który w artykule opublikowanym w „Kurierze Warszawskim” z dnia 15 listopada r. b. pisze: „...zdaniem naszym, wszystkie narody mają prawo do równych korzyści, płynących ze światowego obrotu surowcami”.

Założenie p. Attlee idzie po linii, którą na tym miejscu reprezentujemy od lat. Sprawiedliwy obrót surowcami kolonialnymi i sprawiedliwy podział terytoriów kolonialnych między państwa głodne — jest jedynym środkiem do osiągnięcia pomysłowości gospodarczej świata.

Toteż domagamy się kolonii dla Polski!

PROBLEM KOLONIALNY A POKÓJ ŚWIATA



Akcja, prowadzona przez Niemcy w kierunku rewindykacji swoich przedwojennych kolonij afrykańskich, zdaje się obecnie wchodzić w nową fazę, i z „burzy stratosferycznej”, już od kilku lat szalejącej na szpaltach prasy niemieckiej, stopniowo przekształca się w konkretny plan polityczny, którego wysunięcie na forum międzynarodowe spodziewane jest w najbliższej przyszłości. Tak przynajmniej twierdzi prasa francuska, zaalarmowana ostatnio wiadomościami z Berlina, według których rząd Rzeszy ma zamiar formalnie wypowiedzieć te artykuły traktatu wersalskiego, na których mocy Niemcy zostały pozbawione kolonij, jak również zakwestionować prawomocność postanowień mandatowych Ligi Narodów. Za zapowiedź tego nowego posunięcia Rzeszy uważana jest mowa, niedawno wygłoszona przez namiestnika Bawarii, generała von Epp, który oświadczył, że podstawy prawne utraty kolonij przez Niemcy istnieć już przestały i że wobec tego naród niemiecki nie uważa się za związanego systemem mandatów kolonialnych, zorganizowanym przez Ligę.

Pogłoski tego rodzaju kursowały już nie raz i zwykle były rozpatrywane jako „balony próbne”, puszczane przez Berlin, celem wysondowania opinii zainteresowanych sfer międzynarodowych. Obecnie jednak sytuacja przedstawia się znacznie poważniej, gdyż w razie gdyby Niemcy rzeczywiście zdecydowały się na wysunięcie swoich postulatów kolonialnych, miałyby one zapewnione poparcie Włoch, a prawdopodobnie i Japonii. Mussolini bowiem, w ostatnim swoim przemówieniu, wygłoszonym z powodu piętnastej rocznicy marszu na Rzym, zaznaczył konieczność zrewidowania niektórych postanowień traktatów pokojowych oraz zapewnienia narodowi niemieckiemu należnego mu „miejsca pod słońcem”. Nie ulega również wątpliwości, że i przyłączenie Włoch do niemiecko-japońskiego sojuszu anty-komunistycznego nie było tylko aktem formal-

nym, lecz wyrazem ściślejszego uzgodnienia interesów trzech mocarstw oraz przyjętych zobowiązań w kierunku ich wzajemnego popierania. Co się zaś tyczy Japonii, to sojusz z Niemcami i Włochami jest dla niej w dobie obecnej o tyle cenny, że zajęcie przez nią przychylnego stanowiska wobec niemieckich żądań kolonialnych byłoby zupełnie naturalne, tym bardziej, że nie obejmują one wysp na Oceanie Spokojnym, znajdujących się pod mandatem japońskim. Ponieważ poza tym zarówno Włochy, jak i Japonia, mają swoje własne porachunki z W. Brytanią, głównym państwem-mandariuszem dawnych kolonij niemieckich, przeto wszelkie posunięcie, mające na celu uszczuplenie jej potęgi kolonialnej, leży i w ich własnym interesie.

Z dotychczasowej reakcji W. Brytanii na pogłoski o planach Niemiec i na mowę Mussoliniego trudno wywnioskować, jakie stanowisko zajęłaby ona w razie gdyby kanclerz Hitler formalnie wystąpił z pretensjami kolonialnymi. W angielskich kołach politycznych i w prasie raz jeszcze powtórzono znane już argumenty, że W. Brytania nigdy nie zgodzi się na żadne koncesje pod presją, albo wymuszone szantażem. Równocześnie jednak, zdaniem niektórych wpływowych dzienników, W. Brytania nie odmówiłaby „rozważenia kiedyś sprawy pewnego wyrównania kwestii kolonialnej w ramach szerzej zakrojonego ogólnego porozumienia, zawartego pod egidą i zgodnie z zasadami Ligi Narodów”. Sam zaś min. Eden, nawiązując w swoim przemówieniu w Izbie Gmin do wystąpienia Mussoliniego, ograniczył się tylko do wskazania na niewdzięczność Włoch, które za udział w wojnie otrzymały wielkie obszary kolonialne z rąk sojuszników, a obecnie popierają pretensje niemieckie do W. Brytanii, nie wykazując same najmniejszego zamiaru ustąpienia Rzeszy części swoich posiadłości afrykańskich. Zarzut ten był bardzo niecisły, co od razu zaznaczyła prasa włoska, nie jest jednak wykluczone, że ministrowi brytyjskiemu w danym wypadku wcale nie chodziło o ścisłość, lecz o przytoczenie argumentu, który, odparowując cięcie włoskie, równocześnie w niczym by nie wiązał przyszłej decyzji W. Brytanii co do samej istoty zagadnienia kolonialnego.

Zasługuje na uwagę podana przez prasę opinia brytyjskich kół politycznych o rezultacie, jaki miałyby formalne wypowiedzenie przez rząd niemiecki artykułów kolonialnych traktatu wersalskiego. Według ich zdania wystąpienie tego rodzaju byłoby pozbawione wszelkiego praktycznego znaczenia. Gdyby Niemcy były członkiem Ligi Narodów, mogłyby ewentualnie przeforsować rewizję postanowień mandatowych na mocy art. 19 paktu Ligi, w obecnych jednak warunkach tej możliwości nie posiadają. Rozumowanie to jest zupełnie słuszne, ale też dlatego można z całą pewnością zareczyć, że jeżeli Niemcy, w porozumieniu z Włochami i Japonią, dojdą do przekonania, że nastąpił czas następnego ataku na traktat wersalski, to nie ograniczą się tylko do platonicznego wymówienia, „pozbawionego znaczenia praktycznego”, a zastosują jakieś

środki bardziej skuteczne. Jakież więc mogą być te środki?

Wypowiadając artykuły traktatu wersalskiego, dotyczące demilitaryzacji Nadrenii i ograniczenia zbrojeń, rząd niemiecki działał na terytorium własnym, licząc się jedynie z bardzo zresztą słabą możliwością zbiorowej represji pod egidą Ligi Narodów, której był zdecydowany się przeciwstawić. Kwestionując zaś prawomocność artykułów kolonialnych i postanowień mandatowych, musiałby albo rzeczywiście poprzestać na czczym proteście, co byłoby bezcelowe, albo... wyrzucić odpowiedni nacisk na państwa --- mandatariuszów, celem uzyskania od nich zgody na zmianę statutu swoich dawnych kolonii. To zaś oznaczałoby, jeżeli nie wojnę, to... groźbę wojny, czyli to, co brytyjscy mężowie stanu nazywają szantażem politycznym, zapewniając, że mu nie ulegną...

Przewidzieć ostatecznie rozwiązanie tej kwestii byłoby obecnie niemożliwe. Nikt nie wie, co myślał i co do czego się umówił Hitler z Mussolinim, jak również gdzie leżą granice tych ustępstw, które W. Brytania i Francja gotowe byłyby poczynić w imię zachowania pokoju. Ponadto państwa te, o ile można sądzić z enuncjacji ich kierowników, nie wyobrażają sobie jakichkolwiek „wyrównań kwestii kolonialnej” bez ostatecznego załatwienia innych nieporozumień europejskich, co zdaje się odkładać te „wyrównania” ad calendas graecas. To zaś na pewno nie leży w planach, ani Hitlera, ani Mussoliniego. Następnie, gdybyśmy nawet przypuścili, że zostanie wynaleziona jakaś formuła dyplomatyczna, która pozwoli na rozpoczęcie rokowań w sprawie kolonialnej, to czy byłoby do pomyślenia, że W. Brytania zgodzi się na zwrot Niemcom Tanganiki, o którą im słusznie najwięcej chodzi, a której zdobycie pozwoliło Anglikom wypełnić ostatnią szeroką lukę w pasie ich posiadłości, ciągnącym się od Związku Południowo-Afrykańskiego do anglo-egipskiego Sudanu? Ustąpienie zaś Nowej Gwinei lub Afryki Południowo-Zachodniej napotkałoby znowu na protesty i sprzeciw ze strony Australii i Związku Południowo-Afrykańskiego, które coraz mniej

poczuwają się do obowiązku ponoszenia ofiar w imię potęgi i wielkości Zjednoczonego Królestwa. Pozostają więc Togo i Kamerun, ale W. Brytania posiada tylko mniejszą część tych krajów, a większa należy do Francji. Czyżby więc jej przypadło w udziale ratować pokój wyrzeczeniem się całego afrykańskiego dorobku wojny światowej? Czy na to zgodzi się ona, a zwłaszcza czy ustępstwa te zaspokoją kolonialne pretensje Niemiec?

Pytań tego rodzaju można zadać bez liku i na żadne z nich terazniejszość nie daje odpowiedzi. A to przede wszystkim dlatego, że cały niemiecki problemat kolonialny jest tylko stosunkowo drobnym epizodem w całokształcie nieporozumień, dzielących oś Berlin — Rzym od osi Londyn — Paryż. Swoje „miejsce pod słońcem” zarówno Mussolini, jak i Hitler widzą nie tylko w posiadaniu kolonii, ale i w ogólnym podważeniu potęgi i wpływów międzynarodowych dwóch, dotąd przodujących mocarstw kolonialnych — W. Brytanii i Francji, i to ich zadanie znacznie więcej zbliża ich do Japonii, niż hasła oficjalne sojuszu anty-komunistycznego. Jeżeli więc kolonie zostaną zwrócone Niemcom w drodze dobrowolnej ugody, będzie to tylko dal- szym krokiem do ostatecznej rozgrywki o hegemonię nad światem. Jeżeli zaś samo zagadnienie kolonialne doprowadzi do starcia dwóch wrogich obozów, to będzie ono jednak tylko pretekstem, za którym ukrywać się będą głębsze i ważniejsze przyczyny niezgody, dzielącej obecnie wielkie mocarstwa Europy. Podczas więc, gdy każda ze stron przy każdej sposobności uroczyście deklaruje niezłomną decyzję zachowania pokoju, krwawe zapasy na Dalekim Wschodzie i w Hiszpanii, propaganda anty-brytyjska i anty-francuska w krajach muzułmańskich, naprężona sytuacja na Morzu Śródziemnym i zagadnienie autonomii Niemców sudeckich, zdają się temu przeczyć. Obecnie zaś do tego dochodzi problemat kolonialny, tym groźniejszy, że dotąd jeszcze nie sprecyzowany dokładnie przez żadną ze stron, a więc pełny tajemniczych niespodzianek.

KONSTANTY SYMONOLEWICZ



Kamerun — sprzedaż soli

Znaleziono na: www.magemar.com.pl

MAGEMAR

Zagadnienia Pacyfiku



Okrety japońskiej marynarki wojennej na Oceanie Spokojnym

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



Nazwa Oceanu Spokojnego jest dziś paradoksem. Z pośród wszystkich oceanów jest on najmniej spacyfikowany.

Ocean Indyjski, otoczony pierścieniem kolonij, dominiów i sfer wpływów Wielkiej Brytanii — owe brytyjskie Mare Nostrum — przeżywa błogosławieństwa „Pax Britannica”. Atlantyk, który kilkanaście lat temu przeżył emocje z powodu możliwej wojny między Anglią a Stanami Zjednoczonymi, nie daje narazie powodu do obaw. Natomiast Ocean Spokojny jest świadkiem wzrostu nowej, agresywnej potęgi morskiej, Japonii.

Japonia nie zapomina ani na chwilę o tym, że w żyłach jej synów płynie 60%-owa domieszka krwi pradawnych mieszkańców i władców wysp Oceanu Spokojnego. Na podstawie doświadczeń utwierdziła się w przekonaniu, że Japończycy nie są w stanie znieść surowego klimatu otwartych dla kolonizacji obszarów Azji kontynentalnej, a natomiast są idealnie dostosowani do warunków panujących na południowych wyspach Pacyfiku. W dodatku wyspy te posiadają bogactwa surowcowe i są, w przeciwieństwie do prężności ludnościowej, trapiącej Japonię, w mniejszym lub większym stopniu ludnościowymi próżniami. Jedną tylko, nadzwyczaj gęsto zaludnioną, Jawa stanowi w tym względzie wyjątek.

Krew i warunki zewnętrzne kierują więc Japonię ku południowi, po tym zwartym pasie wyspiarskim, niby gościńcu, który prowadzi od Kamczatki do Nowej Zelandii. Japonia dobrze sobie przypomina, że jeszcze w roku 1870 Stany Zjednoczone za-

borczości jej nakładały pęta, ale zato pół wieku potem była już władcą szeregu wysp północnej połowy tego wyspiarskiego pasa, okalającego Azję i Australię. Przypomina sobie również, jak osiągała to mimo sprzeciwu mocarstw, nawet z pomocą, wynikłą z ich wzajemnych sporów. Wszystko to wystarcza, żeby Japończycy uznali swój pochód ekspansyjny, który z czterech wysp macierzystych wywiódł ich w r. 1871 na Riu-Kiu, w 1895 na Formozę i w 1919 do Mikronezji — aby uznali ten pochód za wymarsz do celów leżących dalej jeszcze na południu: Filipiny, Indie Holenderskie, Australia.

Plany takie nie są tylko marzeniem¹⁾. Dawno to już wyczuli główni sąsiedzi Japonii, Anglosasi. W dwa lata po pokoju wersalskim, prezydent Harding mógł powiedzieć: „Europa leży złamana i nie myśli o nowej wojnie, ale Ocean Spokojny posiada swoje niebezpieczeństwa”. Dla zażegnania tych niebezpieczeństw, tzn. w celu skrepowania Japonii, Harding zwołał do Waszyngtonu konferencję dla spraw Pacyfiku i ogólnego rozbrojenia (12 listopada 1921—6 lutego 1922). Rezultatem jej było m. in. usta-

¹⁾ Jak donosi „Frankfurter Zeitung” (17.X.), utworzono niedawno w ministerstwie spraw zagranicznych w Tokio specjalny wydział dla spraw „Morza Południowego”. Do kompetencji wydziału należą stosunki Japonii (polityczne, gospodarcze, emigracyjne) z Filipinami, Indiami Holenderskimi, Australią i Nową Zelandią. Gubernator Formozy — „odskoczni ku Południowi” — postawiony został pod względem rangi na jednym szczeblu z „ambasadorem” w Mandżukuo. Wszystko to ciekawe oznaki japońskiego „Drach nad Süden”.

lenie globalnej wyporności okrętów liniowych Stanów Zjednoczonych, Anglii i Japonii w stosunku 5:5:3. Jednym z dalszych wyników konferencji był zakaz fortyfikowania niektórych wysp Pacyfiku, Filipin, Guam, Aleutów, Kurylskich, Bonin, Riu-Kiu, Formozy i Pescadorów. Wyspy Mikronezji, przekazane Japonii w Wersalu w formie mandatu, i tak nie miały być użyte dla celów flotowych. Japonia musiała więc zgodzić się na flotę liniową znacznie słabszą od flot Stanów i Wielkiej Brytanii. Nadto, rozentuzjarmowana otrzymaniem w Wersalu wysp Oceanu, sięgających aż po równik, zmuszona była w Waszyngtonie przyjąć bolesny dla niej zakaz budowania nowych baz oceanicznych. Przez to zepchnięta została w sensie mocarstwowym z powrotem na ciasne wody azjatyckich mórz brzegowych, Japońskiego i Wschodnio-Chińskiego.

Jednak bitwę, stoczoną w Waszyngtonie z Anglosasami Japonia przegrała tylko pozornie. Rozległe wody Oceanu Spokojnego są dla Japonii przestrzenią wydarzeń dalszej przyszłości, Anglosasi są dopiero jej wrogami Nr 3 i 4. Wrogów Nr 1 i 2 Japonia widzi: w braku własnych zasobów surowcowych, dostatecznych dla wystawienia floty zdolnej opanować Pacyfik, — oraz w rosnącej z roku na rok sile Rosji Sowieckiej. Chcąc wygrać dziejowe zmagania z wrogami Nr 3 i 4 — rozumuje Japonia — należy pokonać wprzód wroga Nr 1. Otóż walkę z tym wrogiem — brakiem surowców — traktat waszyngtoński pośrednio Japonii ułatwił. Wielka Brytania zgodziła się w Waszyngtonie oddać Chinom bazę Wei-ha-wei, zaniechać rozbudowy Hong-kongu i co ważniejsze, nie trzymać na Dalekim Wschodzie okrętów liniowych. W zamian za to Japonia przystąpiła do „paktu dziewięciu mo-

carstw”, mającego gwarantować nienaruszalność Chin. Dzięki tym sprzyjającym okolicznościom militarnym i papierowym „gwarancjom” Japonia mogła i uderzyła skutecznie we wroga Nr 1 — opanowała Mandżurię, a teraz idzie dalej w głąb Chin.

Walka z wrogiem Nr 1 jest równocześnie dla Japonii szachowaniem wroga Nr 2, Sowietów. Idąc do Chin po surowce i usadawiając się tam politycznie, Japonia zagraża Mongolii Zewnętrznej oraz sowieckim prowincjom dalekowschodnim. Szczególnie zagrożenie wąskiego pasa ziemi sowieckiej, ciągnącego się od Amuru do Władywostoku, odgrywa dla Japonii wielką rolę. Jest ten pas jakby sztyletem, skierowanym w samo serce imperialnego kompleksu: Chiny Północne — Mandżukuo — Japonia — Mikronezja. Z Władywostoku Sowiety mogłyby podjąć ataki morskie i powietrzne na miasta i porty Japonii, nie mówiąc już o zatapianiu transportów morskich, płynących z japońskiej kontynentalnej bazy surowcowo-przemysłowej do Japonii. Dla Japonii jest ta sprawa jej piętą achillesową.

Sytuacja ta zmieniłaby się może po opanowaniu Chin przez Japonię. Grożąc w przyszłości Sowiecom wspólnie z Chinami, mocą kilkuset milionów ludzi, mogłaby Japonia zmusić Sowiety do ugięcia się przed jej rozkazem: zredukować do minimum flotę we Władywostoku! A w takim razie Morze Japońskie stałoby się faktycznie zamkniętym, japońskim Mare Nostrum, na którym z trudnością tylko pojawiłaby się nieprzyjacielska (anglosaska) łódź podwodna. Tymbardziej, że dzięki Wyspom Kurylskim Japonia ma możliwość zamknięcia Morza Ochockiego, a dzięki wyspom Riu-Kiu, Pescadorom i Formozie — Morza Żółtego, oraz Wschodnio-Chińskiego z ujściem

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



Flota wojenna Stanów Zjednoczonych u wybrzeży Wysp Hawajskich



Znaleziono na: www.magemar.com.pl



Działa brytyjskich okrętów wojennych

Jang-tse-kiangu (Szanghaj) — arterii komunikacyjnej, sięgającej 2700 km w głąb Chin. — Flota wojenna, jaką obecnie Japonia trzyma na Morzu Japońskim, celem kielznięcia rosnącej w siłę floty sowieckiej, zostałaby w takich warunkach przesunięta na otwarte wody Pacyfiku, dla zwalczania wrogów Nr 3 i 4, flot amerykańskiej i brytyjskiej.

Ważki krok przeciwko Anglosasom uczyniła Japonia, wypowiadając konwencję waszyngtońską (grudzień 1934), zapowiadając budowę nowych okrętów liniowych i fortyfikując wyspy Oceanu Spokojnego. Cóż to oznacza? Admirał Sutsuga określa Mariany, Palau, Karoliny, Marshall, jako „pierwszą linię obrony Japonii. Jak długo Japonia może je utrzymać, bezpieczeństwo jej od strony Oceanu jest zagwarantowane. W posiadaniu nieprzyjaciela stałyby się one natychmiast niebezpieczeństwem, gdyż służyłyby jako bazy operacyjne dla działań na wodach japońskich. Poza tym wyspy te są naturalnymi bazami lotniczymi i świetnie służyłyby nieprzyjacielskiej flocie powietrznej. Są one jakby stworzone dla Japonii, r ó w n o w a g a sił na Pacyfiku od nich zależy”. Z drugiej zaś strony, gdy połączymy Formozę, wyspy Bonin, Mariany i Palau, to spostrzeżemy łatwo, że powstała w ten sposób łamana linia strategiczna okrąży od północy i wschodu Filipiny. Wypowiedzenie przez Japonię waszyngtońskich klauzul flotowych i fortyfikacyjnych było więc nie tylko aktem defensywy, lecz taksamo wyraźną groźbą pod adresem Filipin.

Stany Zjednoczone nadały Filipinom pół roku

przed tym niepodległość. Mimo to krok Japonii zrozumiały jako rzuconą im rękawicę, szczególnie, że gra japońska sięga daleko poza Filipiny. Sekretarz marynarki, Swanson, wyraził się, iż „fortyfikacje muszą się spotkać z fortyfikacjami. Groźba z jednej strony, musi się spotkać z groźbą z drugiej strony”. Trzeba przyznać, że Stany zagroziły Japonii strategicznie nie na żarty. Na zimnej Północy, u krańca półwyspu Alaska, Stany posiadają Dutch Harbour, potężną bazę dla floty. Korzystając z wypowiedzenia przez Japonię układu waszyngtońskiego, przystąpiły do fortyfikowania Wysp Aleuckich, umacniając szczególnie wyspę Umnak. W ten sposób Aleuty stały się niejako strzałą strategiczną, wymierzoną w północne krańce Imperium Japońskiego. Druga strzała, wymierzona przez Stany w kierunku Japonii, wychodzi z bazy Pearl Harbour na Hawajach, idzie przez ufortyfikowane wyspy (stacje pocztowej linii lotniczej) Midway, Wake i Guam, przecinając omówioną wyżej linię strategiczną japońską, nazwaną przez admirała Sutsuga „pierwszą linią obrony”. Wyspa Guam jest „punktem niewralicznym”, w którym spotykają się obie nieprzyjacielskie linie strategiczne.

Ważny ośrodek mocy Stanów Zjednoczonych na zachodnim Pacyfiku, znajduje się również w Cavite na Filipinach. Należy zaznaczyć, że często wspomniane „wycofywanie się Stanów z Filipin” w następstwie nadania im niepodległości, jest względne. Stany mają obowiązek strzeżenia, a p r a w o fortyfikowania Filipin, do roku, w którym Filipiny otrzy-

mają pełną samodzielność polityczną. Można się taksamo spodziewać, że po upływie tego terminu Stany zawrą z Filipinami traktat współpracy wojсковej, w rodzaju traktatu, jaki łączy Wielką Brytanię z Egiptem i chroni go przed napaścią ze strony obcego mocarstwa.

Amerykanie liczą się zresztą z tym, że w razie napaści Japonii na Filipiny, będą one również bronić przez Wielką Brytanię. Rachuby te opierają się na świadomości, że opanowanie Filipin przez Japonię oznaczałoby alarmujące zagrożenie Singapuru i Wysp Malajskich, a tym samym brytyjskiego „Imperium Oceanu Indyjskiego” i Australii. Do tego Anglia nie może w żadnym razie dopuścić.

Wielka Brytania, taksamo jak Stany Zjednoczone, odpowiedziała na groźby Japonii groźbą: przeznaczyła 11 milionów funtów sterlingów na rozbudowę bazy Singapur. W dalszym ciągu przystąpiła do wzmacniania baz w Hong-kongu i Brunei (Borneo) oraz weszła w porozumienie defensywne z Holandią, zaniepokojoną o los swych Wysp Malajskich, posiadających m. in. bogate złoża ropy naftowej. Holandia zaczęła tworzyć potężną bazę w Surabai (Jawa) i w ten sposób powstał czworobok strategiczny anglo-holenderski: Singapur, Hong-kong, Brunei, Surabaja, uzupełniony linią Surabaja — Port Darwin (Australia). Przed niespodziewaną dywersją Japonii na południowym Pacyfiku będzie chronić Wielką Brytanię flota, oparta o bazy w Sydney, Melbourne, Auckland, Port Chalmers i na Fidżi. Wielka Brytania może również liczyć na oparcie we francuskich Indo-Chinach. Centrum mocy w tym systemie przedstawia Singapur.

Anglicy chętnie by prowadzili na Dalekim Wschodzie politykę „równowagi sił”. Na lądzie przeciwstawialiby armii japońskiej, wzmocnionej siłami mandżursko-mongolsko-chińskimi, armię sowiecką. Na morzu — flocie japońskiej — flotę Stanów, a sami odgrywaliby rolę „języczka u wagi”. Choć prosty w założeniu, schemat ten jest skomplikowany w realizacji. Jedne tylko Stany pozwoliły

sobie na zgrupowanie w s z y s t k i c h sił zbrojnych (floty) na Pacyfiku. Natomiast Sowiety zaabsorbowane są i poza Pacyfikiem i dlatego też armii, stojącej na Dalekim Wschodzie, nie mogą zwiększać w jednym rytmie ze wzmocnieniem kontynentalnej pozycji Japonii. „Oś Berlin — Rzym”, związana ostatnio z Tokio, zbyt absorbuje Sowiety w Europie, aby mogły być one czynnikiem t r w a ł e j równowagi na kresach azjatyckich. Wreszcie sama Wielka Brytania ma tyle kłopotów poza Azją, że, jak np. w chwili obecnej, nie może tam posłać ani jednego liniowca. W razie potrzeby nawet nie mogłaby odegrać roli „języczka u wagi” sił. Co więcej, „polityka równowagi”, stosowana z powodzeniem w dawnych czasach, napotyka teraz na przeszkody psychologiczno - mocarstwowe. Dawniej, kto posiadał silną armię i liczne pancerniki — ten gotów był nie tylko grozić, ale i strzelać, gdy interesy były w niebezpieczeństwie. Dziś natomiast dużo się g r o z i, ale strzela tylko Japonia, która też opanowuje Chiny przed nosem grożących jej mocarstw.

Znaleziono na: www.magemar.com.pl

MAGEMAR

Wyścig zbrojeń morskich i lądowych, jaki się teraz rozgrywa, w którym szanse uczestników są niejednakowe, powinien zmienić za kilka lat światowy układ obiektywnych sił zbrojnych. Może z czasem powstanie również chęć strzelania u niektórych mocarstw, obecnie „nienawidzących” wojny. Zanim jednak to wszystko nastąpi, Japonia będzie walczyła uporczywie z Chinami, dążąc konsekwentnie do opanowania prowincji północnych oraz doliny Jang-tse-kiangu. Jeżeli nawet napotka w przyszłości przeważające siły przed Filipinami i Australią, to jednak będzie może mogła poszczycić się gospodarczym wyrugowaniem Anglosasów z Chin północnych i środkowych. Co się stanie w jeszcze dalszej przyszłości — przewidzieć nie podobna. Wiemy tylko jedno: Japończycy, patrząc na Pacyfik, spoglądają okiem optymisty. Liczą na wieczne swary w rodzinie narodów białej rasy.

ZBIGNIEW DOMANIEWSKI



Z ćwiczeń sowieckiej floty wojennej na Pacyfiku

S p r a w a M a r o k a

Północna Afryka Francuska stała się ostatnio terenem szeregu zamieszek. Poza Tunisem i Algierem, szczególnie ostry i krwawy przebieg miały wydarzenia w Maroku, gdzie rozagitowane tłumy, otwarcie przeciwstawiając się władzom, zbrojnie uderzyły na posterunki francuskie i jawnie wypowiedziały posłuszeństwo Francji, sprawującej protektorat nad Marokiem.

Skąd tak nagle powstał ten konflikt?

Otóż dzisiejsze utarczki u północnych wybrzeży Afryki mają już wieloletnią historię i określone źródła. Punktem ich wyjścia z jednej strony była działalność III Międzynarodówki, z drugiej zaś akcja panarabska. Wiemy dziś wszyscy, że powstanie Abd-el-Krima w Rifie podsycane było materialnie i moralnie przez Komintern; wiemy również, że agenci z Moskwy szerzyli rewolucję tam wszędzie, gdzie można było podważyć spójność i siłę mocarstw. Tak, jak wtedy, i obecnie niemałą rolę w fermentach marokańskich odegrały te same siły destrukcyjne.

Nie należy jednak sądzić, że Komintern jest wyłącznym organizatorem rewolty. Komintern wygrywa tylko te karty, które są do wygrania, główną zaś kartą stał się ruch panarabski, ruch emancypacyjny ludów muzułmańskich, będących obecnie pod opieką mocarstw.

Ruch ten od wielu lat przybiera na sile. Kilka kongresów muzułmańskich obradowało początkowo w Jerozolimie, później w Genewie, ostatni niedawno w Syrii w Blandane. Ten ostatni był chyba naj-

bardziej spośród wszystkich doniosły, od czasów kongresu w Jerozolimie z 1931 r., zwołanego z inicjatywy muftiego Haj Amin El Husseiny, obecnie internowanego. Na kongresach tych wzmacniała się więź, łącząca wszystkich muzułmanów, krystalizowały się postulaty poszczególnych skupisk arabskich.

Jako wynik ruchu panarabskiego zrodził się w 1934 r. „Komitet Akcji Marokańskiej”, popierany nie tylko przez III Międzynarodówkę, lecz i przez Komitet Syryjsko-Palestyński o charakterze rewolucyjnym. Na jego czele stanęła grupa inteligencji arabskiej.

Początkowo terenem działania Komitetu były jedynie ośrodki miejskie. Stopniowo jednak, w miarę rozwoju nowej organizacji, agitacja roszerzać się zaczęła i na wieś, gdzie warunki po temu okazały się bardzo pomyślne wskutek długotrwałej suszy, a więc i trudności materialnych. Ludność z terenów, dotkniętych suszą, nie znajdując i w miastach zarobku, stała się podstawowym elementem dla wszelkiej akcji politycznej.

W październiku 1936 r. Marokańczycy spod znaku Komitetu Akcji wysunęli swoje pierwsze żądania. Domagali się oni wolności prasy, wolności stowarzyszeń, amnestii, unifikacji programu nauczania, reorganizacji sądownictwa, zastosowania ustaw socjalnych do robotników marokańskich, równości fiskalnej, i co najgłośniejsze zniesienia kolonizacji oficjalnej. Mimo, że w listopadzie 1936 r. tym żądanom towarzyszyły rozruchy już o wyraźnym tle



Znaleziono na: www.magemar.com.pl

MAGEMAR

Maroko — scena z targu



Tunis — widok miasta z lotu ptaka

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



nacjonalistycznym w Kasablance, Rabacie, Sale i Fezie, to jednak przywódcy Komitetu Akcji znaleźli poparcie moralne wśród czołowych osobistości Frontu Ludowego we Francji. Kierownicy akcji arabskiej, silni tym poparciem, w stałej łączności z podobnym ruchem w Tunisie i Algerze — dalej prowadzili swą robotę.

Podczas licznych podróży do Paryża, przywódcy arabscy nie tylko spotykali się z delegatami muzułmańskimi z Afryki Północnej i realizowali wspólny front algersko-tunisko-marokański, ale również utrzymywali ścisły kontakt z tymi francuskimi partiami politycznymi, które uznawali za przeciwnie kolonializmowi. Ciesząc się poparciem pewnych czynników należących do Frontu Ludowego, Komitet działał tym energiczniej, na skutek czego do organizacji przystępowało coraz więcej nowych członków; w samym Fezie w krótkim czasie zapisało się do Komitetu 6.000 Arabów.

Mierząca w prawa Francji działalność tej organizacji wywołała wreszcie decyzję położenia kresu nieprzyjaznym poczynaniom. Dnia 19 marca 1937 r. Komitet Akcji Marokańskiej został rozwiązany przez władze francuskie w porozumieniu z sułtanem. Kierownicy jednak Komitetu nie dali za wygraną, dalej prowadzili swą działalność, a niebawem do sułtana marokańskiego i do francuskiego ministra spraw zagranicznych skierowana została 134 stronicowa broszura, stanowiąca plan reform marokańskich; była to pierwsza oficjalna manifestacja nacjonalizmu marokańskiego.

Autorzy planu reform żądali ścisłego zastosowania protektoratu przez zniesienie administracji bezpośredniej, powołania elementu marokańskiego do rad administracyjnych, równości między francu-

skimi i marokańskimi urzędnikami. W rezultacie Francja miała się stać tylko doradcą technicznym, aż do czasu kiedy Maroko będzie mogło samo się rządzić.

Tymczasem ziemie marokańskie stały się terenem nowych zamieszek. We wrześniu b. r. doszło do krwawych rozruchów w Meknesie, później w Marakesz, a w październiku r. b. w Port-Lyautey i w Khemisset.

Dodać tu należy, że otuchy dodaje Arabom jeszcze inny czynnik — mianowicie włoska polityka, przychylna dla Islamu. W ostatnich bowiem latach Mussolini zabiegać zaczął usilnie o względy świata muzułmańskiego, dążąc do nawiązania węzłów sympatii ze społecznościami arabskimi, rozsianymi u wybrzeży Morza Śródziemnego i w najbliższym jego promieniu.

Gdy we wrześniu 1935 r. odbywał się jeden z kongresów muzułmańskich, — można tam było spotkać przedstawicieli Włoch, przybyłych dla zadokumentowania swej przyjaźni. Nastawienie proarabskie Włoch ujawniło się i w zdobytej Abisynii. Podczas gdy władze włoskie bardzo ostro występują wobec Abisyńczyków-chrześcijan, pełne są względów dla muzułmanów. Dużą przy tym rolę propagandową spełnia radiostacja włoska w Bari. Wyspecjalizowana w audycjach w języku arabskim, radiostacja ta początkowo, w okresie zatajania o Abisynię i naprężonych stosunków z Anglią, nastawiona była specjalnie na Azję. Propagowano „antysemityzm“ dla Arabów Palestyny, Jemenu i Transjordanii, sławiono przyjazne uczucia Duce dla narodu arabskiego. Później jednak radiostacja w Bari zwróciła się głównie ku Arabom afrykańskim, zamieszkującym Alger, Tunis, Maroko, przy

czym nie obeszło się bez tego, by umniejszać znaczenie Francji, by uwypuklać jej trudności, by obniżyć jej autorytet wśród tubylców tych prowincji.

W międzyczasie odbyła się głośna podróż Mussoliniego do Libii, gdzie Duce wystąpił już jawnie jako protektor Islamu.

Marszałek Balbo, gubernator Tripolitanii, zapowiadał miejscowej ludności przybycie Mussoliniego w ten sposób: „Duce jest protektorem Islamu. Wykrzykujcie doniośle jego imię, wzywajcie światłość i chwałę Boga na jego drodze. On nie jest tylko wodzem Włochów, on jest też waszym wodzem. Wojownik jak i wy, obrońca godności Rzymu, wspólnej matki wszystkich ludów śródziemnomorskich, wzniosł swój naród do szczytów imperialnych przez swe ostatnie piorunujące zwycięstwo, odniesione nad Lwem Judy. Duce, niepokonany i niezwykły, zapewnia wszystkich chwałę i szczęście“.

A jeden z posłów głosił wówczas w radio rzymskim: „Włochy odpowiedzą zwycięsko światu, przeciwstawiając Tripolitanię szczęśliwą i dostatnią Tunisowi wzburzonemu i zrewoltowanemu“.

Wręczenie kierownikowi rządu włoskiego szabli jako protektorowi Islamu przez księcia Soliman Caramanli, potomka w prostej linii dynastii, która panowała w Tripolitanii, słowa wówczas wypowiedziane przez Mussoliniego a wyrażające sympatie dla Islamu i dla muzułmanów całego świata — wszystko to musiało mieć wielki wpływ na stanowisko Arabów.

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



W rezultacie ludy arabskie poczuły się już nie osamotnione. Wypadki w Kasablance, Rabacie, Sale, Fezie, Meknesie, Marakesz, Port-Lyautey, Khemisset — są przejawami już nie chęci współpracy, lecz wręcz rewolucyjnych odruchów.

Jak do nowej sytuacji ustosunkowała się Francja?

Musiła chwycić się środków energicznych. Aresztowano głównych przywódców zamieszek, a ministrowi stanu A. Sarraut, wybitnemu znawcy spraw kolonialnych, powierzono doniosłą misję kontroli i koordynacji administracji całej Afryki północnej. W jego doświadczonych rękach spoczywa obecnie trudne zadanie przywrócenia autorytetu władzom metropolii.

Ostatnio stworzono przy min. Sarraut regularnie obradującą konferencję, której zadaniem będzie studiowanie położenia w 3 prowincjach Afryki północnej: w Tunisie, Algerze i Maroku, i która przeprowadzywać będzie sposoby wykonania decyzji, powziętych przez min. Sarraut.

Zadanie min. Sarraut nie będzie łatwe. Bo też ruch panarabski, rozwijający się od XIX stulecia, robi postępy. Ale problem Afryki północnej i pod innym kątem widzenia będzie musiał znaleźć rozwiązanie, mianowicie pod kątem bezpieczeństwa dróg komunikacyjnych. Usadowienie się bowiem Włochów na Wyspach Balearskich, przecięcie tym samym szlaku do francuskich posiadłości północnoafrykańskich — musi siłą rzeczy niepokoić kierownicze czynniki francuskie.

K. JEZIORAŃSKI



Maroko — u garncarza

ROK 1937 W GDAŃSKU



Gdańsk.

Stara litografia J. Gretha

Koniec roku przynosi naturalną skłonność do oceny jego wyników. Taki jest zwyczaj powszechny. Aby mu nie uchybić, w najogólniejszych chociażby słowach chcemy powiedzieć, co się stało w Gdańsku w ciągu ubiegłych dwunastu miesięcy.

Nie byle jaki jest to rachunek. Jedno z najważniejszych dla Rzeczypospolitej zagadnień: sprawa dostępu do morza przy ujściu Wisły przekształca się w naszych oczach z niezwykłą szybkością, a każdy niemal dzień przynosi dalsze zmiany.

Rok 1937 rozpoczął się od zmiany osób na najważniejszych w Gdańsku stanowiskach. Były komisarz generalny, p. Kazimierz Papée, został odwołany. Przedstawicielem Rzeczypospolitej mianowany został p. min. M. Chodacki.

Jednocześnie wysoki komisarz Ligi Narodów, p. Lester, który na stanowisku w Gdańsku wykazał równie dużo zrozumienia swych zadań, jak charakteru, został odwołany, a na miejsce jego Liga mianowała prof. Burckhardta, który wkrótce po swej nominacji udzielił prasie wywiadu, wykładając w nim swe zapatrywania na rolę Wolnego Miasta: „...Gdańsk w systemie europejskich prądów politycznych spełnia poniekąd zadanie transformatora — wywodził prof. Burckhardt. — Położony między dwoma wielkimi narodami i państwami, ma możliwość i historyczną misję ułatwiania i pobudzania sąsiedzkiego współżycia tych narodów i państw“.

To przedstawienie sprawy nie miało, niestety, żadnego wpływu na istotny układ stosunków, o których bardziej konkretnie mówił prezydent senatu gdańskiego, p. Greiser, przyjmując komisarza generalnego Rzeczypospolitej na pierwszym oficjalnym przyjęciu. Wspomniawszy ze szczerem, niewątpliwie, żalem okres współpracy swej z poprzednikiem p. min. Chodackiego, prezydent senatu oświadczył, że „stronnictwo nacjonal-socjalistyczne w Gdańsku, które sprawuje rządy, prowadzi politykę realną..., wznowiając najświetniejsze, stare gdańskie tradycje“.

Pozostawiając na uboczu kwestię wznowienia tradycji gdańskich, która w ustach przedstawiciela stronnictwa, rządzącego w Niemczech, wydaje się szczególnie nie na miejscu, wypada jedynie podkreślić usprawiedliwioną szczerą prezydent senatu w sprawie „realnej“ polityki, prowadzonej przez delegatów rządu Rzeszy na terenie Wolnego Miasta. W zestawieniu z propagowaną przez wysokiego komisarza polityką „transformatora“, „realne“ poczynania stronnictwa nacjonal-socjalistycznego nabierają szczególnego wyrazu. Wyraz ten był dla naszych interesów w Gdańsku w roku ubiegłym niezwykle dotkliwy.

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



Przypomnieć w tym miejscu należy, że pomimo osiągnięcia arytmetycznej większości w wyborach 1935 r. (43 mandaty na ogólną liczbę 72-ch), nacjonal-socjaliści nie rozporządzali w sejmie gdańskim dostateczną większością dla zmiany konstytucji w duchu swego programu. Obok stronnictwa nacjonal-socjalistycznego istniały inne jeszcze ugrupowania polityczne silnej opozycji. Byli to przede wszystkim socjaliści, a następnie chrześcijańscy demokraci, nie mówiąc o „niemiecko-narodowych“, którzy, pomimo wszystko, stanowili odrębną grupę polityczną. Biorąc jednak pod uwagę samych socjalistów i centrowców, śmiało powiedzieć można, że istnienie na terenie Wolnego Miasta kilkudziesięciu tysięcy przeciwników stronnictwa, rządzącego jednocześnie w Niemczech i w Gdańsku, nie było pozbawione znaczenia. Stosunki wewnętrzne Gdańska, wbrew twierdzeniu niektórych oportunistów, nie są dla nas obojętne. Przeciwnie! Polska, przez wzgląd na swoje interesy, musi pilnie przyglądać się układowi sił w Wolnym Mieście, gdyż każdy zdaje sobie sprawę z tego, że istnieją dla nas mniej lub bardziej dogodne ich ugrupowania. Najniegodniejszy jest, oczywiście, system monopartyjny i dlatego zniszczenie opozycji gdańskiej przez hitlerowców uchybia bezpośrednio naszym interesom.

Rok ubiegły jest rokiem bardzo niekorzystnych w tym względzie przemian. Zostały one przeprowadzone przez stronnictwo nacjonal-socjalistyczne przy pomocy teroru, któremu nie przeciwstawiła się żadna powołana ku temu, instancja. Zarówno Liga Narodów, pod której opieką znajduje się konstytucja, gwarantująca Gdańszczanom swobody obywatelskie, jak i wysoki komisarz, powołany do kon-

trólowania spraw wewnętrznych Wolnego Miasta, przyglądali się z całym spokojem systematycznemu tępieniu ludzi i kierunków, niedogodnych dla nacjonal-socjalistów.

A przecież zachodziły wypadki, rzucające się w oczy, głośno komentowane przez prasę, rażące. Wieziono pod lada jakim pretekstem socjalistów, chrześcijańskich demokratów, a nawet przywódców narodowo-niemieckich. Pismo socjalistyczne „Danziger Volkstimme” i organ centrum „Danziger Landeszeitung” — były z najbliższych przyczyn karane kilkumiesięcznym zawieszeniem, wreszcie uniemożliwiono im pracę zupełnie. Jednocześnie zmuszono pod terorem niektórych posłów z opozycji do zrzeczenia się swych mandatów. Na kilku innych „wywarto wpływ”, nakłaniający ich do porzucenia swego stronnictwa i wstąpienia w szeregi posłów nacjonal-socjalistycznych. Akcja ta, prowadzona systematycznie w ciągu roku ostatniego, osiągnęła zamierzony cel. Przed kilku tygodniami na zebraniu sejmu gdańskiego uchwalono zakaz tworzenia stronnictw politycznych, a ponieważ, praktycznie biorąc, dawne stronnictwa utraciły możliwość legalnej pracy, przeto śmiało powiedzieć można, że społeczeństwo gdańskie wtłoczone zostało w formę organizacji monopartyjnej. Nic już dziś nie przeszkadza hitlerowcom do zupełnie swobodnego dysponowania sprawami Wolnego Miasta.

W tym stanie rzeczy sytuacja Polaków w Gdańsku stała się szczególna trudna. Rok ubiegły przyniósł, coprawda, tak bardzo pożądane zjednoczenie Polaków we wspólnej organizacji, co zwiększyło,

niewątpliwie, ich odporność, ale jednocześnie zwiększył się nacisk strony przeciwnej. Biorą w nim udział wszystkie czynniki niemieckie, złączone we wspólnej, monopartyjnej organizacji, w której zatracają się granice między administracją, sądownictwem, partią, a związkami zawodowymi. W stosunku do Polaków, wszystkie te elementy łącznie prowadzą w Gdańsku politykę eksterminacyjną. Polityka ta jest sprzeczna nie tylko z zobowiązaniami Gdańska, wynikającymi z traktatów, ale nawet z uroczystymi zapowiedziami senatu gdańskiego, który, chcąc uspokoić opinię polską, przy każdym nowym akcie teroru deklaruje swą gotowość i zamiar uszanowania praw polskich.

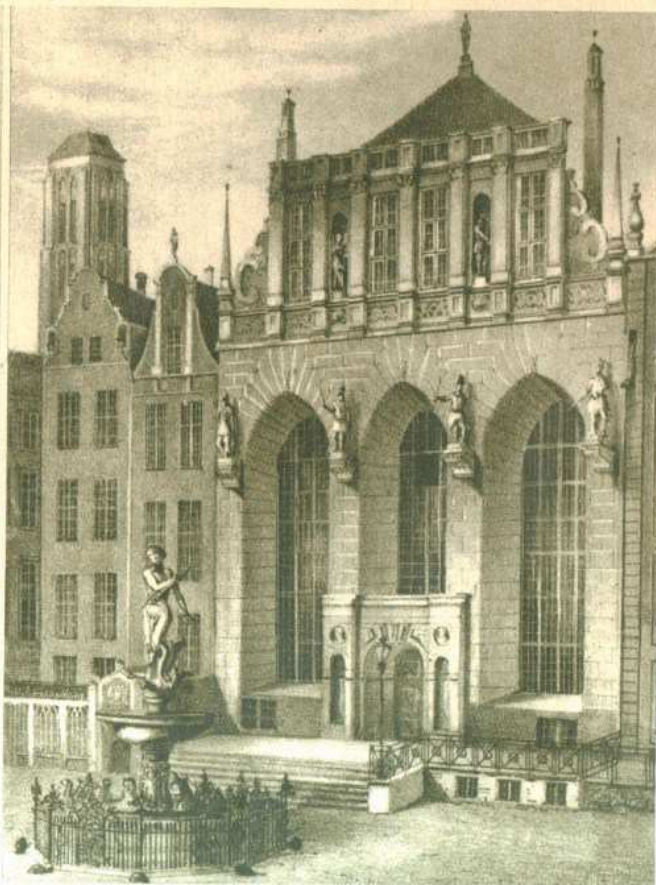
Rok ubiegły ze szczególną, niespotykaną przedtem jaskrawością, dowiódł, że wszystkie zapewnienia władz gdańskich mają na celu jedynie odwrócenie uwagi polskiej od prawdziwych celów polityki hitlerowców gdańskich. Celem ich jest zniszczenie tej niewielkiej garstki Polaków, jaka jeszcze ocalała, a co najmniej sterylizowanie ich do tego stopnia, by utracili wszelką łączność ze sprawami Rzeczypospolitej. Toteż z prawdziwym zdumieniem patrzeć należy na bohaterskie zachowanie się jednostek, które trwają na swym stanowisku. Trwają, ponosząc wielkie moralne i materialne straty.

Rok 1937 pozostanie w naszej pamięci, jako okres powodzenia hitlerowskiego „realizmu”. Był to rok potężnego rozwoju wpływów niemieckich w Gdańsku.

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



S. Z.



Wysoka Brama i Dwór Artusa wg. starych litografii J. Gretha



Załadunek masła i bekonów przy Nabrzeżu Polskim

W dniu 13 — 15 listopada odbył się w Warszawie Kongres Kupiectwa Chrześcijańskiego, zorganizowany przez Naczelną Radę Zrzeszeń Kupiectwa Polskiego.

O wadze i znaczeniu Kongresu dla gospodarczego rozwoju Polski świadczy wymownie współudział Pana Prezydenta Rzeczypospolitej i przedstawicieli najwyższych władz państwowych w otwarciu obrad, — pełne najlepszych wskazań, nadziei i życzeń przemówienia pana Ministra Przemysłu i Handlu oraz najwybitniejszych przedstawicieli organizacji i sfer gospodarczych, liczny udział (około 4.000) kupiectwa chrześcijańskiego ze wszystkich zakątków Rzeczypospolitej.

Oto oficjalne i uroczyste podkreślenie doniosłej roli zawodu kupieckiego w całokształcie życia gospodarczego, zdecydowane wejście na drogę wiodącą do odzyskania niepodległości gospodarczej. Jest to droga z wielu względów bardzo niełatwa, najeżona specyficznymi trudnościami i przeszkodami, wymagająca wiele ofiar i poświęceń nie tylko bezpośrednio zainteresowanego kupiectwa, ale wysiłku całego Narodu. Na wysiłek ten musi się zdobyć cały Naród, jeżeli chce stać się silnym i godnym zajęcia równorzędnego miejsca w rodzinie narodów.

Obrady Kongresu toczyły się w dwóch Komisjach: Usprawnienia Handlu i Polityki Gospodarczej. Wobec zgłoszonych licznych referatów oraz dużej frekwencji, Komisje te zostały podzielone na Podkomisje, obejmujące poszczególne grupy zagadnień,

a więc: struktura polskiego handlu i zadanie zrzeszeń zawodowych oraz unarodowienie handlu w Polsce, przygotowanie do zawodu obecnie czynnych w handlu i nowych pokoleń, oraz nowoczesne metody pracy w handlu, polityka kredytowa — świadczenia publiczne i zagadnienia socjalne w handlu, zagadnienia ustawodawstwa gospodarczego — handel a administracja, wreszcie polityka handlu zagranicznego w chwili obecnej oraz rola kupca i emigracji w handlu zagranicznym.

Z powyższego wykazu omówionych wyczerpująco tematów, żywej i wszechstronnej dyskusji oraz powziętych rezolucyj można żywić nadzieję, że omawiany Kongres nie będzie tylko cczą manifestacją — przysłowiowym słomianym ogniem, lecz stanie się przemyślanym i celowym programem, wiążącym zarówno organizatorów, jak i całe kupiectwo chrześcijańskie.

Czytelników „Morza” najbardziej interesuje niewątpliwie wszystko to, co dotyczy naszego handlu zagranicznego, jego stanu obecnego i możliwości rozwojowych. Postaramy się tedy w najogólniejszym skrócie podać ocenę i spostrzeżenia na temat tego zagadnienia oraz podjęte przez Kongres rezolucje.

W zakresie polityki handlu zagranicznego Kongres stwierdził znaczenie udziału Polski w międzynarodowych obrotach, przy czym podkreślił, że na skutek ogólnej reglamentacji, niskiego poziomu aparatu obsługi handlu zagranicznego, udział Polski w tych obrotach jest minimalny; zajmuje bowiem jedno z ostatnich miejsc.

Celem naprawienia tego stanu rzeczy Kongres domaga się liberalniejszej polityki w zakresie obrotów międzynarodowych, wykorzystania dotychczasowej reglamentacji tych obrotów w kierunku przeprowadzenia korektur strukturalnych — powołania do życia i rozwijania polskich firm eksportowo-importowych, zapewnienie stałości warunków pracy i możliwości szybkiej decyzji przy zawieraniu transakcji zagranicznych itp.

W zakresie roli kupca w handlu zagranicznym stwierdzono, że nie mamy dotychczas właściwego kupca eksportera. Wytworzeniu tego typu kupca przeszkadza m. in. panująca dotychczas tendencja preferowania producenta względnie towaru, a nie człowieka. Wskutek tego pośrednictwo handlowe stanowi dużą bierną pozycję w naszym bilansie zagranicznych obrotów. Naprawę tych stosunków widzi Kongres w zwiększeniu udziału kupiectwa polskiego w kontyngentach przywozowych i wywozowych, w zrównaniu kupca z producentem co do różnych form pomocy przy eksporcie, przygotowaniu personelu obsługi przez udostępnienie praktyk zagranicznych itd. Należy również dążyć do zorganizowania sieci polskich agentów handlowych, którzy wprowadziliby towary na obce rynki zbytu — stworzyć podstawy umożliwiające powstanie domów handlowych w większym stylu, nastawionych na obsługę zagranicznych obrotów.

Wreszcie omówiona została rola emigracji w handlu zagranicznym, przy czym Ogólnopolski

Kongres Kupiectwa Chrześcijańskiego po stwierdzeniu:

- 1) że najbardziej pożądaną gospodarczą formą współpracy między emigracją i Macierzą jest współpraca kupiectwa emigracyjnego z krajem,
- 2) że posiadając za granicą blisko 8 milionową, do kraju przywiązaną, emigrację polską, w czym kilkadziesiąt tysięcy drobnych kupców, nie utrzymujemy z nią stosunków handlowych w takiej skali, na jaką pozwalała tak ich siła i gotowość konsumcyjna, jak i nasze możliwości produkcyjne,
- 3) że przeszkodę w nawiązywaniu poświadanych stosunków handlowych stanowią nie tylko ogólne trudności w handlu międzynarodowym, lecz także struktura zawodowa naszej emigracji, wśród której brak typu kupca importera, a niemniej również brak w kraju zainteresowanych eksporterów, zaznajomionych z warunkami zbytu do terenów emigracyjnych,

uważa, że należy celem wykorzystania powyższych naturalnych możliwości, dążyć do zbliżenia kupiectwa polskiego w kraju z kupiectwem polskim na emigracji.

W tym celu należy:

- a) aby polskie zrzeszenia kupieckie w porozumieniu z Naczelną Radą Zrzeszeń Kupiectwa Polskiego weszły w bliższy kontakt z polskimi organizacjami kupieckimi na obczyźnie,
- b) aby polskie zrzeszenia propagowały usilnie wśród polskich eksporterów konieczność współpracy z polskimi kupcami na emigracji,
- c) aby Naczelna Rada Zrzeszeń Kupiectwa Polskiego wypracowała szczegółowy program działań i zainteresowała nim kupiectwo polskie,
- d) aby konsulatory polskie otoczyły specjalną

opieką polskie placówki handlowe za granicą.

Na szczególne podkreślenie zasługuje duży nacisk, jaki położono na podniesienie kwalifikacji zawodowej i etyki kupieckiej, które dotychczas znajdowały się u nas na wyjątkowo niskim poziomie. Nacisk ten uwiłdocił się nie tylko w referatach specjalnych, poświęconych przygotowaniu do zawodu kupieckiego, ale i w wielu innych przemówieniach.

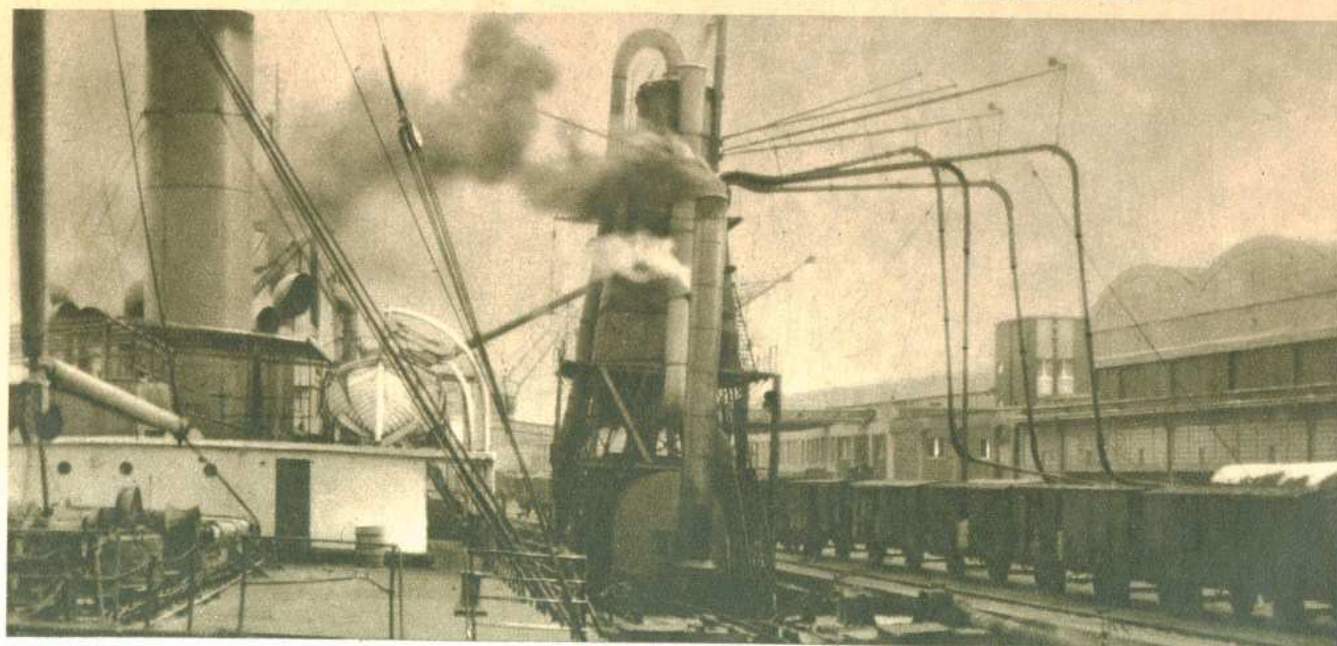
Podkreślano również pionierską rolę kupiectwa chrześcijańskiego w walce o Niepodległość Gospodarczą po przez unarodowienie handlu, co jest „nieodzowną koniecznością gospodarczą, społeczną oraz historyczną, warunkującą równocześnie usprawnienie procesu wymiany w Polsce, a także koniecznością narodową ze względu na obronę państwa”. Bówiem „przeludniona wieś musi znaleźć naturalne ujście w miastach oraz w handlu miejskim i wiejskim. Niespotykany w świecie odsetek Żydów w miastach polskich, przy jednorodności ich zajęć, hamuje dopływ nowych sił polskich do zawodów miejskich, obniżając poziom kulturalny miast i nadając im piętno obcości. Żydzi, posiadając w kraju większość kapitałów płynnych, nieruchomości miejskich, handlu i przemysłu, tworzą równocześnie w Polsce największe ghetto na świecie, będące źródłem fermentów społecznych. Przeważający udział Żydów w handlu tak zagranicznym, jak i wewnętrznym Polski nie tylko nie przyczynił się do jego usprawnienia, lecz przeciwnie, stał się źródłem prymitywizacji wymiany”.

Trudno jest obliczyć i przewidzieć w jakim tempie potoczy się nadal akcja unarodowienia naszego życia gospodarczego, jedno wydaje się nie ulegać wątpliwości, że Kongres przyczynił się do wybitnego wzmocnienia tej akcji, zrehabilitował zawód kupca, stawiając go i słusznie przed wszystkimi innymi zawodami, jako zawód, który zasługuje specjalnie na zrozumienie, opiekę i poparcie Rządu i całego Narodu.

Znaleziono na: www.magemar.com.pl

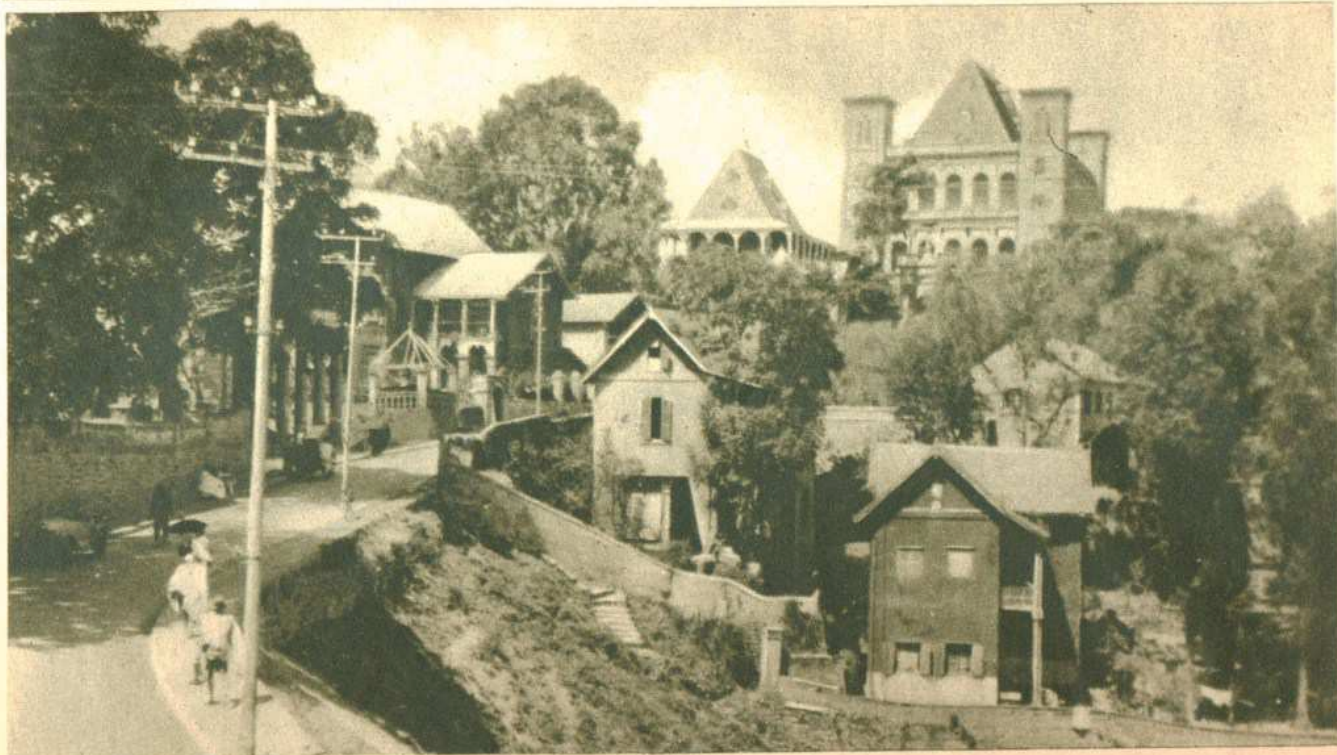


J. K.



ładowanie zboża na statek przy pomocy pływającego elewatora

STOLICA MADAGASKARU



Tananariwa — widok na pałac dawnych królów Madagaskaru

Tananariwa jest zbudowana na kilku wzgórzach, oddzielonych od siebie dolinami. Nada jej to wiele malowniczości i wdzięku. Szeroka dolina, gdzie stoją porządne hale targowe i gdzie odbywa się co piątek targ, stanowi centrum handlowe.

Owo miejsce targów piątkowych, nazywane *z o m a*, jest jednocześnie jak gdyby olbrzymim domem ludowym, w którym spotykają się znajomi, krewni i przyjaciele. Na *z o m i e* omawia się różne interesy i sprawy. Tam ludzie prosi zasięgają wiadomości o tym, co się dzieje w „świecie“, tam kobiety pokazują swoje nowe białe *l a m b y*¹⁾, a dziewczęta zawierają znajomości. Widok *z o m y* w piątek jest bardzo malowniczy i ciekawy. Tłumy ludzi, ubranych w stroje narodowe zapełniają olbrzymi plac i wszystkie przyległe ulice. Tananariwa nieczym wtedy właściwie nie różni się od tej z czasów królowej Ranavalony.

Dzielnica reprezentacyjna Tananariwy mieści się na jednym ze wzgórz, gdzie znajduje się urząd generalnego gubernatora i wszystkie urzędy francuskie. Tam też są dwa największe hotele dla białych: *Grand Hôtel Fumaro* i *Hôtel de Commerce* oraz większość sklepów francuskich i prywatnych mieszkań ludzi białych. Składa się na nie kilkanaście niewielkich asfaltowanych ulic, porządnie zabudowanych i dobrze oświetlonych w nocy. Pałac generalnego gubernatora wybija się na pierwsze miejsce pod względem architektury i szarmonizowania z otoczeniem.

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



¹⁾ Białe szaty, w które malowniczo drapują się kobiety.

Naokoło miasta ciągną się nieprzejrzanymi łanami *riziers* czyli ryżowiska. Ponieważ jest tu znana prawie wyłącznie uprawa ryżu błotnego, udającego się jedynie na błotach, przeto wieśniacy przemienili całą dolinę przy pomocy irygacji w jedno olbrzymie, rojące się oczywiście od komarów błoto. Przy pomocy sieci kanałów, wypełnionych wodą z rzeki Ikopy, i obfitych w lecie deszczy, udaje im się z pożytkiem dla urodzaju ryżu, ale ze szkodą dla zdrowia utrzymać ten stan stale. Ryżowiska rozpoczynają się tuż prawie na przedmieściach i ciągną się wiele kilometrów dalej. Niektóre drogi dojazdowe do Tananariwy są w jej pobliżu prawdziwymi groblami, po obu stronach których ciągną się błotniste pola. Na szczęście, dzielnica europejska znajduje się na jednym z kilku wzgórz, co sprawia, że plaga komarów, nosicieli zarazków malarii, do niej prawie nie sięga.

Z pamiątek historycznych na szczególną uwagę w Tananariwie zasługują: pałac dawnych królów howaskich i pałac ostatniego premiera howaskiego. Pałac dawnych królów czyli tak zwana *R o v a* wznosi się na najwyższym punkcie miasta i jest widoczny od strony zachodniej z odległości dwudziestu kilometrów. Stanowi on dzisiaj muzeum, pełne pamiątek po dawnych władcach Madagaskaru. Ostatnia jego mieszkanka, królowa Ranavalona III, została z niego wywieziona przez Francuzów nocą, potajemnie, w roku 1896 na wyspę Réunion, a następnie do Algeru, gdzie zmarła w roku 1917, w wieku lat 57. Obok *Rovy* wznoszą się dwa oryginalne grobowce, z których jeden był przeznaczony dla królów, drugi dla królowych, oraz chata założyciela ostatniej dynastii, króla Andropoimerina'y, panującego od roku 1787 do 1811.

Dokładna data założenia Tananariwy nie jest znana, prawdopodobnie fakt ten miał miejsce około roku 1607. W owym czasie rządził krajem król Andrianjaka, piąty kolejny następca króla Rafohy, pierwszego władcy howaskiego, o którym tradycja wyraźnie wspomina. Andrianjaka postanowił przenieść swoją siedzibę na urodzajną równinę, zroszoną wodami rzeki Ikopy, czyli na miejsce dzisiejszej stolicy wyspy. Zastał tam plemię Wazimbo, które poddało mu się bez walki i uznało jego suwerenność. Król sprowadził 1000 rodzin swoich poddanych i osadził ich na roli. W związku z tym faktem nazwał nową miejscowość Tanana-rivo (Miasto Tyśiąca), które to miano zatrzymała ona bez zmiany do dnia dzisiejszego. W chwili śmierci Andrianjaka (1637 r.) Tananariwa była miastem kwitnącym. Podział kraju na cztery królestwa, dokonany przez jednego z jego następców, rozwój jej zahamował na długo. Dopiero ponowne zjednoczenie kraju, dokonane w końcu XVIII wieku przez Andropimeriną, przywróciło miastu jego dawny splendor. Następni po nim władcy: Radama I, królowa Ranavalona I i Radama II, a potem królowie: Rasoherina, Ranavalona II i Ranavalona III, którzy kolejno obejmowali tron w wieku XIX, przysporzyli miastu świetności. W chwili detronizacji królowej w roku 1906 i obejmowania władzy przez Francuzów, Tananariwa zajmowała już obszar równy obecnemu miastu, a ludność posiadała tylko niewiele mniej liczna. Naturalnie, jej wygląd był zupełnie różny od obecnego.

Prasa rozwinęła się w Tananariwie nadspodziewanie bujnie. Istnieje tam kilkanaście wydawnictw periodycznych, wydawanych po francusku i malgasku. Z pism francuskich ukazują się następujące dzienniki: „Le Journal de Madagascar“, „Le Madagascar“, „La dépêche de Madagascar“, „Radio-Tananarive“. Co kwartał ukazuje się piękne wydawnictwo bogato ilustrowane p. t.: „La Revue de Madagascar“.

Z pism malgaskich w języku francuskim wycho-



Mjr M. B. Lepecki w rozmowie z Malgaskami

dzi dziennik „Le petit Tananarivien“ i tygodnik „Paris-Tana“. Ponadto, w języku malgaskim wychodzą 24 pisma periodyczne.

Ruch wydawniczy księgarski jest też dość ożywiony. Pierwsza wystawa książki, zorganizowana w czerwcu 1937 roku, przedstawiała bogaty dorobek w tej dziedzinie. Obok książek francuskich, wydano już na Madagaskarze setki książek w języku malgaskim. Dużą zasługę w tym posiadają misjonarze angielscy i norwescy, którzy wobec misjonarzy katolickich wygrywają sympatie Malgaszów bezwzględny forytowaniem ich języka. Należy jednak przyznać, że również misjonarze katolicy nie są elementem, który by chciał działać na szkodę kultury narodowej tubylców, aczkolwiek rola ich, jako Francuzów, jest o wiele trudniejsza.

W literaturze howaskiej na pierwszym miejscu znajdują się dzieła treści religijnej, podręczniki szkolne i poezje. Nie brak też pewnej ilości powieści oryginalnych i tłumaczonych.

Znacznie lepiej rozwinęły się pośród Malgaszów inne działy sztuki, a w szczególności malarstwo i rzeźbiarstwo. Posiadają oni w tym kierunku duże uzdolnienia. L'École d'Art Appliqué i L'École des Beaux Arts stworzone specjalnie dla krajowców, wydają mnóstwo artystów może nie najpierwszej klasy, ale zato pracowitych i w swoim zawodzie zamiłowanych. Tananariwa jest przepełniona ich wyrobami. Motywem najulubieńszym rzeźbiarzy malgaskich jest byk-zebu i pospolity bardzo na wyspie ptak pique-boeuf. Ich płaskorzeźby w drzewie różanym, hebanie i palisandrze, wyobrażające sceny rodzajowe z życia krajowców, są pełne ekspresji i ruchu. Malarze najchętniej malują krajobrazy i typy: znane jest im również malarstwo na jedwabiu i na specjalnych deszczułkach, później politurowanych.

W Tananariwie istnieje Académie Malgache — coś w rodzaju Akademii Francuskiej w miniaturze i na małą skalę. Jest to instytucja rządowa, powołana do opieki nad sztuką. Jedną z główniejszych gałęzi jej pracy jest wydawanie szeregu dzieł z zakresu poznawania historii i geografii wyspy. Na czele jej stoi dr Fontoynt, rektor Szkoły Medycznej. Pośród członków znajduje się niewielka liczba Malgaszów, która usprawiedliwia do pewnego stopnia jej nazwę.

Aczkolwiek spacerując po niektórych ulicach Tananariwy można mieć złudzenie, że jest się w Europie, nie mniej jednak jest to miasto nawskroś howaskie. Mały procent białych ginie zupełnie w masie krajowców. Wprawdzie napisy francuskie na szyldach przypominają, że to stolica kolonii francuskiej, ale widniejące obok napisy malgaskie mówią znowu co innego. Rząd kolonii bynajmniej nie przesładuje języka miejscowego. Wszystkie rozporządzenia są drukowane w dwu językach, napisy w urzędach — również. Duża liczba urzędników drobniejszych, a w szczególności tych, którzy mają kontakt z publicznością, rekrutuje się spośród Howasów, co pozwala ludności porozumiewać się wszędzie we własnym języku. Językiem „ulicy“, językiem, który słychać wszędzie jest język malgaski. W tym panowanie francuskie nie zaznaczyło się niczym.

MAGEMAR

M. B. LEPECKI

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



CZŁOWIEK ZA BURTĄ

Przejście jachtu „Admirał” w rejsie Gdynia — Sztokholm. Według opowiadania p. Z. M.

Na tę wyprawę wybrałyśmy się dwie kobiety. Marylka D., podążająca ścieżką morską za mężem, zawziętym jachtsmanem (w cywilu inżynierem) i ja.

Staliśmy na molo, oglądaliśmy nasz okręt — niewyraźnie coś się robi na sercu. Śliczny, bo śliczny, ale wydaje się nam maleństwem. Tym większe wydaje się morze, błyszczące, szumiące, przechwalające się, pewne siebie za tym łamaczem fal.

Jacht liczy 16 metrów długości, jest świetnie związany, zgrabny, jednomasztowiec, mający w żaglu 80 metrów; w środku wykończony jak cacko: mahonie, lustra, dywany, szafy w ścianach, wygodne kabinki, każda na dwie osoby...

Nie tylko ja hołduję przesądom. Wódz nasz, kapitan w służbie czynnej polskiej Marynarki Wojennej, Romuald T., za nic w świecie nie wyjedzie w poniedziałek. A właśnie jest poniedziałek. Kapitan wybiera dla siebie i pierwszego oficera, którym jest p. Bronisław T., najgorszą koję, którą najłatwiej może zalać woda.

Załogę jachtu stanowili: kapitan, pierwszy oficer, intendent p. Ignacy L., inżynierostwo D., bosman D. i ja.

Ledwo wybiła dwunasta — odcumowujemy. Mamy motor, ale wieje doskonały Sud-West, wychodzimy z portu na żaglach. Jest dzień 7 września.

Światła Gdyni odchodzą, a z przestrzeni morskiej tchnie nieznana surowość. Na sercu jest nija-ko. Na wielkiej boi umieszczony dzwon odzywa się nieregularnie i nierytmicznie — zależnie od tego jak fala uderza. Kapitan poczyną śpiewać: „Každy z nas na brzegu zostawił serce swe...” Niebo się wy-

iskrza, port już dalej. Przestaje słyszyć falę i daje się ogarnąć ciszy.

Ziemia już zginęła ze swymi odgłosami. Ład mówi do nas tylko światłem. Nie mam mieć wachty w nocy, ale siedzę jak urzeczona... morze fosforyzuje — nie wiedziałam, że Bałtyk fosforyzuje tak pięknie. Dopiero rano schodzę do koi. Zastaję w niej Marylkę w kłopotcie:

— Zobacz, co ja do koi, to koja ode mnie...

Istotnie — buja. Wylazimy na kokpit. Kapitan stwierdza:

— Grzywacze...

Ale pierwszy oficer mówi, że to wcale jeszcze nie są grzywacze. Pocieszamy się, że pewno mówią na złość. Dobitniej nas pociesza morze. Wiatr już jest 7 — 8. Wszyscy są na pokładzie i wszyscy chorują. Niema co się wstydzić. Nelson był wielki admirał, nawet mu rękę urwało, a chorował ciągle.

Nocą mijamy Gotland. Jest moja wachta. Wachty mamy co cztery godziny. Nad ranem o godz. 10 m. 30 przechodzimy cieśninę Färesund. Ze szwedzkiego hydroplanu wita nas machaniem ręki lotnik. Morze ucisza się. Przynoszą mi na pokład gorącą kaszkę w rondelku. Jem kaszkę, słońce świeci, lotnik kiwa ręką — ach, jak przyjemnie... Ale niedługo tego szczęścia. O g. 11 m. 23 wychodzimy z Färesundu i sytuacja od razu się zmieniła. Morze nasrożyło się na niedojeżdżoną kaszkę. Jeszcze nie łapiemy się w sytuacji, gdy spostrzegamy podążający ku Gotlandowi jacht, wracający z morza, z bardzo zrefowanym żaglem i ze sztormowym fokiem.

— Jakoś bardzo sztormowo wygląda ten wiatr — mruczy kapitan i każe dać dwa refy grota. Pod nasz stateczek podbiega pierwsza fala. Ogarnia nas nie-

pokój. Wieje silny Sud-West: wiatr wymarzony na Sztokholm, coś, kiedy staje się coraz silniejszy. O godzinie 14 wiatr wzmacnia się do 7.

Kaszka... Ach. Boże, szkoda jej... miota coraz bardziej. Przed nami ukazuje się wyspa Gotska Sandö. Piaszczysta plaża i czarna ściana lasu. Ukojenie dalekie, za odmetem fal. Jacht stoi tam przy wyspie szwedzkiej. Bije od niego pewność i przytulność. Nagle jacht zapuszcza motor i rusza w morze. Rzecz prosta — nie może kotwiczyć w taką pogodę. Kładziono mi w uszy, że w niepogodę należy uciekać od lądu.

Obcy jacht odjeżdża i Gotska Sandö wznosi się samotna, niedostępna i zła. Gdy jacht znikł, zrobiło się straszno. Rzuciłam okiem na pokład: miał wzmocnioną obsadę — przy sterze był uwiązany inżynier D. Przy takelunku uwijali się kapitan, p. Bronisław T. i bosman. Czynią przygotowania do wzięcia trzeciego refu i spuszczenia fok.

Zesłam w dół do p. Ignacego L. i Marylki i położyłam się na koję. Ledwo się położyłam, posłyszałam rozkaz kapitana: „fok precz“. Na górze widać, robiło się coraz goręcej. Jachtem rzucało niemożliwie. Musiałam trzymać się kurczowo.

Nagle — jestem pokryta lawiną wszystkich przedmiotów z kabiny. Wszystko leży na mnie i dusi, ja leżę na ścianie. Jak przez mgłę słyszę grzmot tłuczonej porcelany, wyciągam ręce, by usunąć tłuczącą mnie górę. Nagły przechył uwalnia mnie tak radykalnie, że i sama lecę z koi na podłogę. Słyszę z góry krzyk kapitana: „Na pomoc“. Chwytam pas ratunkowy i trzymając go w rękę spieszę na górę. Wicher wali mnie, jakby kto huknął deską. Widzę kapitana, jak robi jakieś wysiłki. Gdzie tamci? Boże! — zmyło ich!... Tu z prawej burty w wodzie, podrzucany przez fale i raz po raz chłonięty — bosman; trzyma się liny. Za rufą już, wielki Boże, — daleko — raz pokazało się ciało p. Bronisława T., — już znowu na tym miejscu piana.

Ale p. Bronisław T., świetny sportsmen — nie puszczał liny. Wybiegł p. Ignacy L., pośpieszył na pomoc kapitanowi inżynier D., Okazało się, że kapitana też zmyło, tylko uchwycił się najkrótszej liny i wspiał się z powrotem bez pomocy.

Już są, już stoją na pokładzie. Jacht szarpie się jak szalony, przechyły są nieprawdopodobne. Po-

wpijaliśmy kurczowo ręce, trzymamy się, jak kto może. Woda nam nad głowami leci, żagiel, którego nie zdążono zwinać, wykręca jacht jak łupinę.

— Korba, gdzie korba? — krzyczy bosmanowi w ucho kapitan, — bosman właśnie manewrował korbą od grotfału, gdy go zmyło; korba leży na dnie morza. P. Ignacy L., pełźnie więc po korbę od kabestanu. Brnie przez zwały wszystkiego co jest na jachcie (na dole potem wyciągaliśmy białe głęboko w drzwi, w boazerie drzazgi porcelany).

Kapitan spuszcza grot, zamierzając sztormować na fok nr I. Ten jednak począł pękać przy rogu szotowym, zatem postanowiono z powrotem grot, który jednak nie dało się całkowicie wybrać. Wicher świszcze na огоłoconym maszcie. Kapitan zwraca ku nam twarz, po której ściekają strugi wody i krzyczy:

— Kobiety pod pokład!

Schodzimy posłusznie. Stajemy w dole, — luk zaciągnięto nad nami i zapanowała względna cisza po tym piekle, które było na górze.

Zaczynam się modlić: „Pod Twoją obronę“ i „Kto się w opiekę“. I znowu „Pod Twoją obronę“... Luk się otwiera i wszyscy wchodzi. Nie dało się zakotwiczyć, więc rzucili dryfkotwę. Idziemy, hm... spać.

Dryfujemy na wschód, niezamierzoną drogą, w regiony morza, z których nie mamy map. Statkiem rzuca jak piłką. Motor nawalił i leżymy w ciemności. Po pokładzie przewalają się z potępieńskim hałasem łańcuchy. Raz wraz dobiega do jachtu potężna fala i wali w burłę, aż spojenia trzeszcza. Biedny nasz jachcik mahoniowy, lustrzany, wydywaniony!... Musi się czuć jak skazaniec torturowany kołem. W powietrzu stoi grzmot, skrzyp, trzeszczenie, dźwięk, szurgot, hałas nieopisany. Leżę przemoknięta do nitki. Ubranie paruje, skóra pali, a zarazem jest zimno. Modlę się. Modlę się całą noc.

Potem się dowiedziałam, że podli mężczyźni w obliczu śmierci jedli golonkę, a p. Ignacy L. nawet zasnął i spadł z koi.

Wreszcie poczęło świtać. Posłyszałam głos p. Bronisława T., który wołał do bosmana, że kapitan go wzywa na pokład. Po chwili sam p. Bronisław T. ukazał mi się w mocno nieprzepisowym stroju, bo miał na sobie tylko spodenki kąpielowe.

Spoglądam z góry z koi — siedzi z głową spuszczoną w dół, zlepione włosy spadły mu na twarz.

— No, co? — pytam.

— Boże, jak u was sucho... — mówi głuchym głosem. Biedak, wymócił jak śledź i wreszcie zrzucał nawilgłe łachy. W naszej kabinie podłoga jest pochyła, więc woda nie trzymała się i spłynęła. Wydaje się, że dla p. Bronisława T. suchość jest obecnie ważniejsza ponad wszystko.

— Kapitan już na górze?

Podnosi na mnie wzrok niewidzący i zamglony. Zwolna źrenice koncentrują się. Mówi z przyciskiem:

— Kapitan całą noc spędził na pokładzie, uwiązany przy sterze...



Przy sterze

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



Wychodzę na pokład, bo na mnie pada wachta. Jest moment pełen emocji — między wyjściem z luku do kokpitu, — że właśnie w tym czasie lunie fala. Jacht sztormuje na boku. Fale wciąż idą przez pokład. Siedzę w swoim „żółtku“ (gumowy żółty strój marynarski) i pochylam głowę, gdy tona wody leci przeze mnie. Statek wyprowadza swoje niesamowite harce. Ale ciekawe, nikt z nas przez cały czas sztormu, który trwał pół dnia, noc, dzień i noc — nie uległ morskiej chorobie.

Kiedy schodzę w dół po skończonej wachcie, widzę kapitana, nachylnego nad mapą. Światła nie ma, świecę mu więc ręczną latarką. Kapitan rozważa swoim równym, spokojnym głosem, który tak pysznie działa na nas:

— Nno, tak... Tu szczegółowych map nie mamy, muszę się posilkować mapą generalną. Niesie nas na wschód. Może nas zanieść do Łotwy, może do Estonii. A może do Finlandii?

— A może do Rosji?

Nie otrzymuję odpowiedzi.

Przez całą noc nie spałam, przez cały dzień nie jadłam. A właściwie i wczoraj tylko tę kaszkę, której jedzenie okazało się symboliczne... Ciało całe mnie boli, jestem poobtłukiwana, roztrzęsiona. Sztorm się nie uspokaja i czuję się, jakby się musiał czuć liliput, którego jakowyś Guliwer stawiałby przez trzydzieści sześć godzin ciągle raz na głowie, raz na nogach.

Już dawno rozpoczęła się druga noc. Wychodzę na pokład. Przy sterze tkwi kapitan. I nagle widzę pojawiające się na horyzoncie ognie parowca. Patrzę pilnie na kapitana i widzę, że również widzi parowiec. Mija nas w niezbyt dalekiej odległości. Ale nie śmiem o nic pytać. Potem, kiedy już jest daleko, kiedy nie ma żadnej nadziei i kiedy nie mogę być posadzona, że powoduje mną coś innego, niż szlachetne dążenie wyszkolenia się w kunszcie żeglarskim i w obyczajach morskich, przełykam ślinę i staram się obojętnie spytać:

— Panie kapitanie, czy jak się jest w potrzebie, albo w ogóle... więc czy można dać sygnał parowcowi, kiedy mija?...

Kapitan zwraca na mnie oczy i mówi obojętnie:

— Można...

Kiedy w parę godzin potem mijał nas drugi parowiec, a ja, tłuczona, miotana, obolała, nieśpiąca drugą noc, patrząc na ciepłe światła pływającego domu, myślałam sobie cichutko, że przecie pojechałam dla przyjemności, że mam dzieci i że prawo żeglarskie, honory jachtowe — furda, — myślenie to pozostało we mnie. Stojąc przy kapitanie, patrzyłam na ginące światła i już nie zadawałam pytań... teoretycznych

Wreszcie kapitan ukazuje światła latarni morskich, — widzę przez ciemność nocy gdzieś na niewymownej, niewiadomej, niewymiernej, niesprawdzalnej dalekości, jakieś jedno światelko... potem drugie...

Kapitan rozpoznaje wejście do Cieśniny Irbeńskiej, pełnej mielizn. Nie mając mapy szczegółowej w nocy tam nie pójdzie. Każe zawracać — na morze. I całą noc tańczymy po piekających się falach.

Skoro świt kierujemy się do brzegu. Na razie nic nie widać. Z wolna z horyzontu oddziela się szary pasek. Łądz. Mija jeszcze pewien czas i kapitan stwierdza z zadowoleniem:

— Windawa. Znalezione na: www.magemar.com.pl 

Kiedy wychodzimy na ląd (nie od razu, nie od razu... Kapitan każe doprowadzić jacht do porządku zewnętrznego i wewnętrznego, mężczyznom się pogolić, paniom włożyć szatki, płci naszej przystojne) — przypominają mi się jakieś dawne czasy najwcześniejszego dzieciństwa, kiedy, jeszcze nie umiejąc chodzić, chwytając się matczynej spódnicy i nagle uspokajając się w błogim poczuciu pewności i bezpieczeństwa. Dziwna rzecz — nigdy nie miałam tych wspomnień i nagle narzuciły mi się z nieodpartą siłą. Zrozumiałam też, czemu marynarze chodzą szerokim, przelewającym się krokiem. Zdało mi się, że upadnę, drobiąc po warszawsku. Dopiero „holendrując“ po łotewskim nadbrzeżu, czułam się jako tako.

Siedzimy teraz jak żydzi nad rzekami Babilonu, martwiąc się naszym „Admirałem“. Grot-żagiel uszkodzony, fok rozerwany, lewa wanta urwana u salingu, listewki od grota połamane i pogubione. drykotwa porwana, zgubiona, pięć cylindrów od lamp pozycyjnych potłuczone, kłapa od achterpiku zatopiona. Porcelana calutka potłuczona. Ze szkła ocalały trzy kieliszki. A także żal naszego bajbociku, łódeczki, przymocowanej na pokładzie. Jakaś wściekła fala wybiła w nim bok.

Kapitan wraca z wizyty na pomocniczy okręt łotewski „Varonis“, który wiozł oliwę dla łodzi podwodnych i schronił się przed sztormem do Windawskiego portu. Za kapitanem nadciągają marynarze, przysłani z „Varonisa“, aby zabrać nasze rzeczy do wysuszenia w kotłowni. Nas też biorą do uprania — a raczej do wyparzenia w łaźni okrętowej. Wychodzimy odświeżeni na ciele i na duszy i niesamowicie głodni. Na okręcie czeka już obiad. Potem my podejmujemy Łotyszów lampką wina w naszych trzech ocalałych kieliszkach. Wino nam nieco idzie do głowy, choć przecież nic prawie nie piliśmy. To widać tak rozebrało nas ciepło i suchość, ludzka życzliwość i błogie wypełnienie żołądków.

Tego dnia usnęliśmy na naszych kojach, w wysuszonej w kotłowni pościeli, pod wysuszonymi, przytulnymi, puszystymi pledami.



W drodze do Sztokholmu

W Windawie staliśmy cztery dni, bo burza na morzu nie ucichała. Wreszcie, było to czwartego dnia (15 września), kapitan się zirytował i zdecydował, że można jechać. Odcumowaliśmy o 10 m 45. U wejścia do portu wciąż wisi czarny stożek sztor-mowy i ostrzega. Kapitan się uśmiecha:

— Przemknijemy się...

Gotska Sandö mijaliśmy na drugi dzień, 16 września, o 4-ej rano. Od tej chwili znaleźliśmy się na dawnym szlaku. Ale dopiero o 14-ej weszliśmy do szkiei. Wkoło rozpościera się cisza. Tysiące wy-sepek wybiega na nasze spotkanie. Jesteśmy w świątecznym nastroju i szykujemy się witać Sztokholm. Gdy nagle wiatr puchnie i musimy za-kotwiczyć przy jakiejś wysepce o 6 mil od Sztok-holmu. Czy nie pech?

Na drugi dzień odcumowaliśmy się w basenie na-wprost Strand Hotelu już o godzinie 9-tej rano. Po dwudniowym pobycie, w dniu 19 września wyru-szamy z powrotem. Mamy do zrobienia około 350 mil. Wyjeżdżamy fiordami na motorze o 5-ej rano. U wylotu ze szkiei stajemy o g. 23. Wyszła benzy-na i obawiamy się, czy wyminimy boję Landsort. Ale jakoś wypełziliśmy. Teraz dla odmiany, spadał na morze gęsta mgła. Przypada na mnie wachta. A tu z kokpitu dziobu nie widać. Kapitan przydźwi-guje potężny róg, daje mi i powiada:

— Niech pani co minutę w stronę nawietrzną trąbi.

Trąbię więc.

Rano przy refowaniu gafla urywa nam się tope-nanta. P. Bronisław T. leci za burtę i w ostatniej chwili kapitan łapie go za nogę. Jednak zbłązowa-liśmy się. Widząc, że p. Bronisław T. leci, p. Ignacy L. (ten co jadł golonkę w sztormie i spał, aż spadł) z flegmą powiada:

— Ten znowu leci za burtę.

I znowu wiatr się wzmacnia. Tym razem chroni-my się do portu Visby na Gotlandzie. To jest szwe-dzka Riviera. Śliczne hotele i wille i mnóstwo daw-nych ruin, po których pną się róże. Stare to miasto hanzeatyczne! W Visby stoimy dwa dni. Spać nie można, tak rzuca. Kapitan kazał założyć podwójne cumy.

Na domiar złego — prześladowe nas wszędzie, biegnie za nami po wszystkich portach niejasna wieść, że zatonał „Krzysztof Arciszewski“, jacht Akademickiego Związku Morskiego.

22 września o g. 16 odcumowujemy. 208 mil do przebycia. Największy przeskok. Na morzu nie jest jeszcze dobrze. Robotnicy portowi uczynnie i po koleżeńsku asystują przy odcumowywaniu. Kapitan ich żegna podniesieniem ręki. Zastępuje nas wszyst-kich tym gestem. Ale się uśmiechnęłam do ludzi, zostających na brzegu. Podchwycili mój uśmiech. Pokiwali głowami poważnie, ze zrozumieniem. Po bratersku. Ich ciemne twarze, flegmatyczne faje i porty niczem żagle wydęte i obfite, pozniwały. Znów — morze. Znów złe.

Grot z trzema refami. Fok nr 2. Wiatr West-Sud-West. O godz. 18 m. 20 wzmacnia się. Fala na pokład. Spuszczamy fok.

Następnego dnia o g. 5 m. 30 mijamy latarnię po-łudniowego cypla. Morze wyciąga aksamitną łapę. Nocami księżyc od góry do dołu, a dniami — słońce.

Teraz wylegujemy się, plażujemy, wreszcie uży-wamy jachtingu, jak Pan Bóg przykazał. I nagle — kiedyś byli dosłownie „sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem“, bo na połowie drogi do Gdyni — coś sfurknęło z powietrza i padło nam pod nogi na pokład. Pliszka. Chwilę leżała bez ruchu. Pa-trzyliśmy jak zaczarowani na ten kłębuszek życia, który tu spadł nie wiedzieć skąd z pustyni wodnej. Przynieśliśmy wody, nakruszyliśmy chleba. Pta-szek stanął na łapki, wiatr mu podniósł śmiesznie i czupurnie ogonek. Poskakał do wody i do okra-szynek. Bojąc się ruszyć, skupieni u burty, patrzy-liśmy, jak maleństwo podskakuje sobie po pokła-dzie. Spenetrowawszy pokład, pliszka wskoczyła do wejścia w dół. Stał tam zagaszony jeszcze cie-pły prymus. Gdyśmy zeszli, znaleźliśmy ją siedzą-cą na prymusie i grzejącą nóżki. To był fenomenal-nie mądry ptak. Gdyśmy szli na spoczynek, frunęła do kabiny kapitana i ulokowała się na jego koi w nogach. Mówił, że dopiero tej nocy źle spał, bo bał się, żeby nie przydusić gościa. Na drugi dzień pliszka zjadła śniadanie i bobrowała po pokładzie. Podlatywała na morze, ale zawracała. A ci nasi mężczyźniska brudne to było, obdarte, nieogolone, w ciężkich butach gumowych — przede wszystkim pytają o pliszkę, chodzą cichutko i skromnie, mówią niemal szeptem — byle zwierzątko nie wystraszyć.

Nocą przeszła koło nas nierozpoznana podwod-na łódź. Potem jakiś mały okręt wojenny. Nad Bał-tykiem górami gdzieś ciągnęły ćwierkliwe rzesze, jak Gólsztrom powietrzny, jak prąd cykliczny z pradziejów, prąd życia, ciągnący po wiosnę, — dołem — pruły go sprawy ciemne i ludzkie, sprawy posępne. Emocjonowałam się, żeby zobaczyć Pol-skę, jak tylko się wyłoni. Bosman też się emocjono-wał z innego powodu: miał w Gdyni dziewczynę, do której mu było pilno. Więc porozumieliśmy się:

— Ja będę miał wachtę z p. Ignacym L. nad ranem — powiedział, — to jak tylko zobaczymy Polskę, będziemy głośno śpiewać: „Kiedy ranne wstają zorze“ i pani się obudzi. — Darli się pono, ale zasnęłam. Kiedy wyszłam na pokład — Gdynia już stała w morzu w całej krasie. Z boku nadażał „Jurand“, jacht Akademickiego Związku Morskiego, wracający z Kopenhagi.

Już mijamy wojenny port. Kapitan, sygnałami optycznymi pyta:

Pierwsze pytanie: „Co z „Arciszewskim“?“

Drugie pytanie: „Jaki wynik meczu jego druży-ny?“

Pierwsza odpowiedź: „Arciszewski“ w porcie“.

Druga odpowiedź: „Hip! Hip! — hurra! Nasi gó-ry“. „Kapitanie“, — sygnalizują dalej — „ciężki był sztorm, ale nie martwiliśmy się o was, gdyż wie-dzieliśmy, że pod dobrym dowództwem jachtowi, ani załodze nic złego stać się nie może.“

W pysznych humorach cumujemy. Wita nas starszy bosman, który tłukł się po różnych morzach świata. Bierze moją walizkę.

— Niechże pan da spokój — mówię — walizka jest lekka.

— Tym co przebyli sztorm — odpowiada — mo-gę przenieść walizkę.

Schodzę na ład z podniesioną głową.

 MAGEMAR

MELCHIOR WAŃKOWICZ

Znaleziono na: www.magemar.com.pl

Gdynia w powieści

Miasto portowe ma swe zupełnie odrębne oblicze, różni się ono od miast śródlądowych nie tylko swoistą architekturą i pejzażem. Inni zamieszkują je ludzie. Handlowiec i przemysłowiec, robotnik, a nawet urzędnik w mieście portowym inną ma psychikę, niż jego koledzy wewnątrz kraju. Wpływa na to stały kontakt z zagranicą w najróżniejszych swych formach, oddziałują dalekie tchnienia otwartej przestrzeni, obcowanie ze specyficzną kategorią ludzi, jakimi są ludzie morza, odrębna atmosfera, jaka się wytwarza przez rodzaje zajęcia codziennego, przez ustawiczną fluktuację ludności. Miasto portowe przyciąga nie tylko ludzi żądnych zarobków godziwych, ale aferzystów, rycerzy przemysłu, awanturników, męty społeczne, poszukujących łatwej i intratnej pracy, ludzi spragnionych przygód. Wszystko to czyni z miasta portowego siedlisko zupełnie osobliwe, tym osobliwsze i ciekawsze, im większą ma za sobą tradycję.

Czy nasz jedyny port, młodziutka nasza Gdynia, ma już swe specyficzne oblicze, czy podobna jest w zasadniczej swej fizjonomii do swych siostr w Niemczech, Holandii, Danii, Francji, Włoszech? Czy czujny i bystry obserwator, chłonny na wszystko nowe wrażenia, znajdzie już w Gdyni coś szczególnie pociągającego, różniącego ją zasadniczo, nie tylko krajobrazowo od innych polskich miast? Na to pytanie mógłby odpowiedzieć jedynie ktoś, kto, poznawszy inne porty świata, zżył się mocno z naszą Gdynią. Przypuśćmy jednak, że Gdyni jeszcze daleko do tej specyficznej atmosfery miast portowych, że psychika miasta portowego Gdyni jest dopiero in statu nascendi, mimo żywego ruchu w porcie, intensywnej wymiany handlowej,

mimo swego Witomina, Pekinu i Obłóza, przypuśćmy więc, że egzotyzm, jaki jest nieodłączny od miasta portowego, jeszcze nie potrafiłby decydująco wpłynąć na wyobraźnię twórczą powieściopisarza, czy nie ma w Gdyni nic specjalnego, szczególnie odrębnego, co by powieściopisarzowi dostarczyć mogło interesującego materiału do powieści?

Czytelnikowi powieści, jakie dotąd napisano na temat Gdyni, lub w których Gdynia odgrywa pewną ważniejszą rolę, wydawać by się mogło, że nie. Są w nich oczywiście obowiązkowe i bardzo szablone ujęte „achy“ i „ochy“ na temat szybkiej rozbudowy, prężności narodowej, rozmachu i energii, cudu przedsiębiorczości i jak się tam te wszystkie niedzielne frazesy patriotyczne nazywają. W opisach miasta i portu panuje idealna monotonia. Słowa „potężny - gigantyczny - wspaniały“ odmieniają się we wszystkich przypadkach, każdy z pisarzy powtarza sumiennie wciąż jednakże określenia: „anteny masztów“, „lasy masztów“, „poezja dźwięków“, nazywa Gdynię „miastem na żaglach“, „miastem-okretem“, tworzy obrazy, które nie wywołują żadnego skojarzenia rzeczowego ni uczuciowego. Jedyny Makuszyński zdobył się na porcję oryginalności, nadał swym opisom Gdyni dużo bezpośredniości, serdeczności, prawdziwego uczucia¹⁾.

Najwyższe zainteresowanie budzi jednak zawsze człowiek, jego dążenia i marzenia, zamierzenia i dokonania. Tymczasem pisarze unikają w swych powieściach gdyńskich żywych ludzi, mało ich in-

¹⁾ Kornel Makuszyński: „Wielka Brama“. Powieść dla młodzieży. Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych. Warszawa, 1936. Str. 247.

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



Fragment ulicy Morskiej i widok na wiadukt kolejowy

interesują autochtoni, ich przemiany z rybaków małej wioski w mieszkańców wielkiego miasta, ich stosunek do dokonujących się przemian w obliczu ich ojcowizny, do rozbudowy miasta, ich myśli na temat przybyszów, świata przedsiębiorców, budowniczych itp. Bardzo nieśmiało dotyka tego tematu w swej powieści Nina Rydzewska-Baytugan²⁾, wspominając jakby mimochodem o wykupywaniu gruntów w okresie tworzącej się Gdyni, powstawaniu wielkich gmachów, bogaceniu się rybaków, o ich sceptycznym stosunku do „polskiej” roboty. A właśnie te momenty zasługiwały na szerokie rozprawienie, tu była skarbnica materiałów do związania ciekawych intryg, do spostrzeżeń psychologicznych i demograficznych, do stworzenia dramatów i konfliktów pomiędzy nowym a starym pokoleniem rybackim, pomiędzy autochtonami a przybyszami. Rydzewska czuła dobrze, że te momenty w powieści „gdynskiej” odgrywać winny ważną rolę, ale nie czuła się widocznie na siłach, by je artystycznie ukształtować, uczynić wątkiem istotnym i podstawowym swej powieści. Mimo to zaznaczenie tych tematów pozostanie niewątpliwą zasługą autorki „Akwamaryny”, która jednak krzywdząco naświetla Kaszubów i ich ojcowiznę.

Innym interesującym wątkiem, który związany jest z powieścią o mieście portowym, zwłaszcza tak młodziutkim, tak nowym, tak jeszcze mało znanym szerszemu społeczeństwu, morsko nie „wyszkolonym”, to życie handlu morskiego, tajniki i kulisy tego handlu, jego życie codzienne. Próbował je ująć w powieści Antoni Kawczyński³⁾, który zresztą na-

²⁾ Nina Rydzewska-Baytugan: „Akwamaryna”. Wyd. F. Hoesick. Warszawa, 1937. Str. 354.

³⁾ Antoni Kawczyński: „Dannemora”. Wyd. St. Dimpel. Poznań, 1937. Str. 236.

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



Gdyni przybywa rokrocznie wiele nowoczesnych wspaniałych gmachów

pisał pierwszą powieść osnutą wyłącznie na tle Gdyni. Jeśli właśnie idzie o to życie handlowe Gdyni, pewnie jego ukryte, a ciekawe przejawy, to wychodzi ono w powieści Kawczyńskiego dość ciekawie i oryginalnie. Autor zaznajamia czytelnika w interesujący sposób z przebiegiem morskich transakcji handlowych, z pewnymi szczegółami działalności biur handlowych, a nawet z nieuczciwą konkurencją handlową, z wyrosłymi na tym gruncie przejawami szantażu i sabotażu, z niektórymi zjawiskami życia organizacyjnego robotników. Prowadzi nas autor także do knajp portowych, rzuca błdy snop światła na atmosferę życia zagranicznych marynarzy, ich wzajemnego do siebie i do Polaków stosunku, naświetla rolę żydowskich aferzystów w życiu handlowym Gdyni. Są to jednak tylko zamazane nieco zdjęcia migawkowe. Brak należytego pogłębienia psychologicznego postaci, pobieżność w ujmowaniu zjawisk istotnych, pewna cikliwość w przedstawieniu życia uczuciowego głównych bohaterów powieści, nieskoordynowanie harmonijne poszczególnych wątków powieściowych, zbędne dygresje sprawiają, że pod względem artystycznym powieść uważać należy za chybioną. Widoczny jest jednak postęp w tematyce morskiej, względnie portowej. Autor wyczuwa, co z tej dziedziny może interesować szczerą lądowego, pragnie zaspokoić te zainteresowania przynajmniej w pewnej mierze, a w przedstawianiu materiału rzeczowego stara się być możliwie ścisły i wiarogodny. Koloryt lokalny dochodzi do głosu w scenach, w których występuje element tubylczy, kaszubszczyzna kelnerek „Zatoki”, starego Sztumma jest wiarogodniejsza od kaszubszczyzny Rydzewskiej i Jarosławskiego, jakkolwiek nie mam pewności, czy jest całkowicie autentyczna. „Dannemora” daleka jest od ideału artystycznego utworu o Gdyni, nie mniej stanowi pierwszą próbę zbliżenia się do tego ideału.

Na tle Gdyni napisał także częściowo swą dwutomową powieść Mieczysław Jarosławski⁴⁾. Ale tu, podobnie, jak w powieści Kawczyńskiego, założenie i zamiary stoją w rażącej dysproporcji do wykonania. Wartość powieści Jarosławskiego zabiło w pierwszym rzędzie straszliwe gadulstwo, chęć połączenia najróżniejszych wątków fabularnych w jedną zgodną całość. Autor zamierzał ukazać czytelnikowi mechanizm rozbudowy Gdyni w tempie i na modłę amerykańską oraz rywalizację Gdyni z Gdańskiem, względnie obawy Gdańska w związku z

⁴⁾ Mieczysław Jarosławski: „Zew morza”. Wyd. „Rój”. Warszawa, 1936. Str. 404+365.

rozwojem polskiego portu. Nie było to wcale złym pomysłem, że rozbudowa Gdyni odbywać się miała według pojęć i planów bogatego emigranta polskiego z Ameryki i że plany te miały być krzyżowane przez niemieckie z Gdańskiem związane koncerny finansowe. Było tu wiele możliwości powiązania fantastycznych pomysłów autora z rzeczywistością. Błędem autora było, że pozostał wyłącznie w sferze fantazji, że zrobił ze swej powieści przez przeładowanie jej mnóstwem drugorzędnych wątków, budję awanturniczą o nikłym prawdopodobieństwie, tak, że elementy istotnie ciekawe i wartościowe w tej mieszaninie przeróżnych składników fabularnych, całkowicie się zatracają, że spostrzeżenia i uwagi słuszne giną w płataninie nieodpowiedzialnych rekryminacji (zagadnienia kaszubskie). Wieloplanowość powieści, z której autor zdawał się być dumny jako z poważnej zdobyczy kompozycyjnej, zepsuła interesujące zamierzenie.

Na tym można by właściwie zakończyć przegląd powieści „gdyńskich“, gdyż pozostałe utwory nie wnoszą już nic istotnego do zagadnienia. Nie chciałbym jednak pominąć maleńkiego ustępu z powieści Wandy Karczewskiej⁶⁾ — ustępu poświęconego Gdyni — gdyż rzuca ciekawe światło na pewien podstawowy stosunek naszych pisarzy (i w szerszym znaczeniu naszego społeczeństwa) do Gdyni (kwestii morskiej). Otóż w „Ludziach spod żagli“ znajdujemy taki to dialog polskiego marynarza Doliwy z drugim, obcokrajowcem:

Doliwa, dojeżdżając do Gdyni, pyta:

— Co to za port?

— Gdynia.

— Gdynia? Nie słyszałem...

— Taki sam jak i inne. Tyle, że go dawniej nie było.

I to właśnie: „Taki sam, jak inne. Tyle, że go dawniej nie było“ — zapadło w Doliwę cichym niespodziewanym zrozumieniem. Odwrócił się. Światła tam przed nim paliły się tak samo, jak w innych portach, kryły to samo: baseny, statki cumowane u nabrzeży, krany, składy, zaharowanych ludzi, robotników portowych. Przecież to jasne. Nie mogło być inaczej. Już wiedział, że przejdzie obok tego wszystkiego, jak w obrębie każdego innego portu, pójdzie dalej... Nim poznał to niechętne miasto, już go miał dość...“ (str. 172).

Cóż w tym ustępie tak zdumiewającego? Jesteśmy wdzięczni Doliwie, że jako marynarz, który dotąd nie wiele wiedział o polskiej marynarce, który do Polski odrodzonej przyjechał po raz pierwszy, nie częstuje nas znaną porcją deklamacyj patriotycznych. Gotowiśmy także uznać intencje

autorki, że Gdynia, młoda Gdynia, ukazała się staremu marynarzowi jak stary doświadczony port. Świadczyłoby to dobrze o polskiej robocie. Ale uznając odrębność i „dziwność“ psychiki człowieka morza, nie możemy zrozumieć, że w polskim marynarzu nie zabiło mocniej serce na widok polskiego portu, że odczuwał tylko gorycz w stosunku „do niechętnego miasta“. Na podstawie naszej dotychczasowej beletrystyki gdyńskiej, przypuszczać by można, że podobne uczucie — choć w innej formie (niezrozumienie) pokutuje w twórcach tych powieści, i takie niezrozumienie pokutuje także w naszym lądowym społeczeństwie. Beletrystyka nasza nie bardzo przyczyniła się dotąd, by torować drogę społeczeństwu do tego zrozumienia. A czy nie jest to potrochu jej rolą?

O wiele rzetelniej postępują już pod tym względem pisarze dla młodzieży, którzy najsluszniej w świecie ograniczają się do wydobywania elementów czysto uczuciowych, łącząc je z rzeczowymi opisami. Tak to uczynił Jim Poker⁷⁾ w swej powieści, tak Kornel Makuszyński, tak wreszcie p. Sychowska⁷⁾ w oryginalnie pomyślanej książeczce popularno-naukowej, ujętej w formie beletrystycznej.

Na prawdziwą, artystycznie pełnowartościową powieść o Gdyni wciąż jeszcze czekamy.

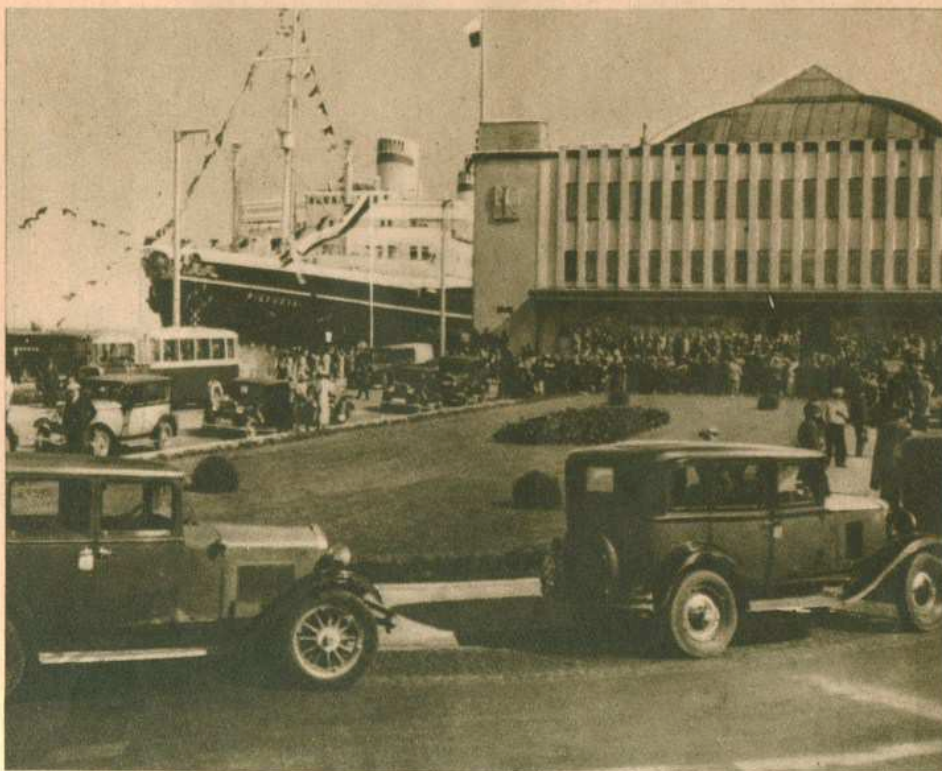
Znaleziono na: www.magemar.com.pl



ALFRED JESIONOWSKI

⁶⁾ Jim Poker: „Zdzich szuka ojca“. Wyd. Gebethner i Wolff. Warszawa, 1934.

⁷⁾ T. Z. Sychowska: „Nadmorskie pędziwiatry w porcie gdyńskim“. Wyd. „Książnica-Atlas“. Warszawa, 1936. Str. 39.



Dworzec morski w Gdyni

⁸⁾ Wanda Karczewska: „Ludzie spod żagli“. Wyd. LMK i Inst. Wyd. „Biblioteka Polska“ Warszawa, 1937. Str. 219.

OSADNICTWO POLSKIE W MISIONES

Najstarsza kolonia polska w Misiones — Apostoles, obchodziła niedawno czterdziestolecie swego istnienia. Dla upamiętnienia tego faktu, odbył się w samym Apostoles i innych koloniach polskich oraz w stolicy prowincji Posadas, szereg uroczystości, z których na podkreślenie zasługują: Przeniesienie na jeden dzień stolicy prowincji z Posadas do Apostoles; nadanie jednej z ulic w Posadas nazwy: Avenida de Polonia; udekorowanie medalami pamiątkowymi pozostałych przy życiu pierwszych osadników: Macieja Bednarza, Wojciecha Szczęsnego, Victora Vivarelli, Anny Maksymowicz, Anny Dutki i Anny Sobczyszyn; wmurowanie w budynku banku państwowego „Banco de la Nacion” w Apostoles tablicy pamiątkowej na cześć gubernatora Lanusse, którego zasługą było zapoczątkowanie kolonizacji w Misiones.

Pomimo podniosłego charakteru samych uroczystości (w pochodzie przez Apostoles brało udział ponad cztery tysiące osób), nie obyło się bez pewnych dysonansów.

Jednym np. z punktów programu, w obecności gubernatora, było podniesienie bandery argentyńskiej, w którym to celu zarząd miejski zarządził budowę specjalnego masztu o wysokości 18 metrów. Otóż niewiadomi sprawcy uszkodzili nocą cokół i obielili kwasem żrącym żelazną część masztu.

Przemówienie oficjalne cechowała podwójna nuta: z jednej strony uznawano zasługi kolonistów polskich w dziele gospodarczego podniesienia Misiones, ale z drugiej usiłowano ten fakt osłabić narzekaniami na nacjonalizm tychże kolonistów.

Przy odsłonięciu tablicy na cześć gubernatora Lanusse, Argentyńczyk p. Rivas pięknie i wyczerpująco omówił początki kolonii Apostoles i zasługi gubernatora, ale zakończył swoje przemówienie oświadczeniem: „Niech cudzoziemcy nie myślą, że Apostoles ze wszystkimi zdobyczami — to ich zasługa. Pracowali nad podniesieniem Apostoles i Argentyńczycy i cudzoziemcy”. Nadmienił ponad-

to, że cudzoziemcy nie asymilują się dość prędko i że obowiązkiem rządu jest tępić wszelką odrębność narodową.

Wieczorem na bankiecie gubernator prowincji, dr Vanasco na nowo poruszył ten sam temat. Stwierdzając, że imigranci dokonali dużo „pod względem gospodarczym”, zarzucił im, że zasklepiają się w swoim kółku, religii, mowie, systemie, walczą, o to, by zachować je jak najdłużej i uwiecznić w pokoleniach zrodzonych już w Argentynie. Utrudniają asymilację, wyodrębniają się z życia argentyńskiego, podlegają wpływom rządów państw, z których pochodzą. W końcu gubernator wypowiedział się za ułatwieniami dla emigrantów rasy łaćwińskiej, jako łatwiej ulegających asymilacji. Zaznaczył jednakże, że jego uwagi nie dotyczą Apostoles, gdyż osadnicy z tej kolonii oporu asymilacji nie stawiają.

Te rekryminacje padają pod adresem polskich kolonistów, nie po raz pierwszy. W dzienniku argentyńskim „Tribuna” z dn. 26 czerwca 1902 r., korespondent tego pisma pisze: „...Nie chciałem zabierać głosu w tej sprawie (oskarżeń przeciwko Polakom), dopóki nie widziałem własnymi oczami kolonii i nie zbadałem prawdziwości oskarżeń. Mogę stwierdzić, że osoby, które widziały kolonię, wszystkie bez wyjątku, wypowiedziały się z całym uznaniem o kolonistach, a zarzuty robili ci tylko, którzy ich nie znali. Koloniści polscy dali dowody wielkiej wytrwałości i nawet można powiedzieć heroizmu w znoszeniu nędzy i w walce z tylu strasznych przeciwnościami... Inne kolonie, założone w warunkach o wiele korzystniejszych, z ziemią urodzajniejszą, albo położone na wybrzeżu rzeki, a zamieszkałe przez Włochów lub Hiszpanów, upadają i prawie nic nie produkują, gdy tymczasem Apostoles i Azara, założone przypadkowo, na początku z 14 rodzinami, stale się podnoszą.”

„La Nación”, jeden z dwóch największych dzienników argentyńskich, z dn. 12 stycznia 1898 r., przytacza w następujących słowach opinię samego gubernatora Lanusse o naszych emigrantach:

„Dnia 23 grudnia 1897 r. zwiedziłem każdą siedzibę 14 imigrantów, osiadłych w Apostoles, i wyniosłem wrażenie, które nie może być lepsze”. Pracowali z natężeniem i nie obawiam się twierdzić, że ta garstka ludzi w ciągu czterech miesięcy, walcząc z różnymi przeszkodami i trudnościami, na jakie są narażeni przybyli, zrobiła więcej, niż wszyscy razem dotychczasowi tutejsi mieszkańcy w ciągu lat 16-tu”.

Przytoczona opinia gubernatora Lanusse o osadnikach polskich najlepiej tłumaczy niechęć różnych czynników do osadników polskich. Wszak Apostoles liczyło w tym czasie około 300 miesz-



Plaza de Mayo w Buenos Aires

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



kańców w miasteczku i około 1.000 poza miasteczkiem, a jednak żywotność dla świeżo przybyłych osadników trzeba było sprowadzać ze stolicy prowincji — Posadas, odległej od Apostoles o przeszło 80 kilometrów. Partia osadników, przybyła w lipcu 1900 roku zużyła na przebycie tej drogi 8 (osiem) dni, co daje najlepsze pojęcie o ówczesnych warunkach komunikacji w Misiones. Dzisiaj Apostoles liczy około 8 tysięcy ludności, z czego 4 i pół tysiąca przypada na ludność polską i ruską z Małopolski: posiada dobre drogi, znaczną ilość samochodów i jest głównym dostarczycielem żywności dla stolicy Posadas. Słowem, dopiero praca polskiego osadnika ponownie stworzyła z Apostoles ośrodek życia i cywilizacji.

Podkreślam „ponownie“, gdyż Apostoles miało swoje dni blasku i chwały w okresie istnienia państwa indyjsko-jezuickiego, zorganizowanego z Indian szczepu Guaraní przez księży jezuitów. Indianie tego szczepu zaludnili wówczas wielkie połacie w Ameryce Południowej, wchodzące dzisiaj w skład Brazylii, Argentyny i Paragwaju. Po dziś dzień językiem domowym mieszkańców Paragwaju jest język guarański, a nazwy roślin, zwierząt, rzek i miejscowości — nie tylko w Paragwaju, ale i w sąsiednich prowincjach Argentyny i Brazylii — są przeważnie pochodzenia guarańskiego.

Od chwili odkrycia Brazylii przez Portugalczyków spokojni i pracowici Guarańczycy stanowili pożądaną łup dla białych jako niewolnicy na plantacjach. Napastowani bezustannie przez wyprawy wojenne białych, w których celowali osadnicy brazylijscy z San Paulo, tak zwani mamelucy, znaleźli obrońców w jezuitach.

Jezuici rozpoczęli swą pracę misjonarską wśród Guarańczyków w końcu XVI wieku, budując kościoły i tworząc koło nich osady i miasteczka.

Jednocześnie ani chrzest, ani opieka potężnego zakonu nie uchroniły Guarańczyków przed najazdami mameluków. Znaczna część osad jezuickich poszła z dymem a tysiące chrześcijańskich Indian zasilalo w dalszym ciągu plantacje sanpaulowskie w ręce robocze. Wówczas w r. 1631 około 12 tys. Indian pod kierownictwem ks. Montoya'i opuszcza ziemię, położone bliżej San Paulo i udaje się przez lasy i góry do Misiones, zasilając poważnie element indyjski w tej prowincji.

Wprawdzie połowa tych indyjskich pionierów wyginęła w drodze od trudów podróży i epidemii różnego rodzaju, ale przybycie z Parany kilku tysięcy Guarańczyków tchnęło nowego ducha w życie Indian misionerskich. Powstają nowe osady, między



Zbiór yerby mate w Misiones

innymi Apostoles w latach 1632—38, kwitnie rolnictwo i hodowla bydła, spokój i dobrobyt zaczyna gościć w chatach indyjskich. Przykładem rozkwitu może służyć osada Apostoles, w której w r. 1768 wypędzenia jezuitów, liczone przeszło 50 tys. sztuk bydła, 4½ tys. koni i mulów oraz 32 tys. owiec i kóz.

Od czasu wypędzenia jezuitów przez Karola III rozpoczyna się szybki upadek państwa indyjsko-jezuickiego. W ciągu niespełna 50 lat liczba Indian w misjach spada ze 100 tysięcy na 50, a sam proces zniszczenia posuwa się tak szybko, że w początkach XIX wieku zamiast kwitnących osad wszędzie sterczały ruiny, które pokryła bujna roślinność podzwrotnikowa i dziewiczy las. W Misiones zapanała cisza śmierci, którą dopiero w kilkanaście lat później przerwał huk topora polskiego kolonisty.

Promotorem emigracji polskiej do Misiones był gubernator tej prowincji Jan Józef Lanusse. Francuz z pochodzenia, przyjaciel jednego z najstarszych emigrantów polskich w Argentynie, dziś już nie żyjącego ś. p. Michała Szelągowskiego w La Plata. Pod jego wpływem, Lanusse zażądał od Dyrekcji Imigracji w r. 1897, skierowania do Misiones pierwszej partii emigrantów polskich w liczbie 14 rodzin, torując tym samym nowy szlak dla naszego wychodźstwa.

W stolicy Posadas wychodzą dwa pisma polskie: „Osadnik“ i „Orędownik“, z których pierwsze nosi charakter gospodarczy i dba o podniesienie stanu materialnego naszych kolonistów, a drugie — służy sprawie pogłębienia życia religijnego.

Pionierzy nasi pokonali wszystkie trudności i zwyciężyli. Załamała się kolonizacja włoska, nie dała wyników kolonizacja hiszpańska, ale chłop nasz nie załamał się i wytworzył w dalekim Misiones, na gruzach cywilizacji indyjsko-jezuickiej szereg skupisk polskich, tętniących życiem i wiarą w przyszłość.

SPOTKANIE

— Pytasz mnie, jak to się stało, że jestem teraz na „Hultarg”? Że jestem kapitanem — na „Hultarg”? Chcesz wiedzieć, dlaczego nie rzuciłem morza wtedy, po tej podróży do Sabangi, dlaczego nie zerwałem od razu z tym całym życiem, bo przecież, jak mówisz, miałem zamiar to zrobić?

— Oh, nie, nie... Ja nie przeczę... Owszem miałem zamiar to zrobić. Pamiętam nawet bardzo dobrze, jak mówiłem ci, podczas podróży ze Sabangi, że jak tylko wrócimy z powrotem, rzucę to wszystko w diabły i zakotwiczę się na lądzie z jakąś perkątką dzierlatką i zapomnę o morzu na zawsze, bo to przecież niema sensu walczyć się po świecie przez tyle lat.

— Tak, tak mówiłem w istocie. Ale jak widzisz, wszystkie moje zamiary porwał wiatr i ja, jak tyłu innych, wróciłem znowu na te słone wody, a żeby tłuc się po nich do końca życia, dotąd, aż armatorzy nie powiedzą mi: — „No, czas panu na spoczynek, Mr. Mc. Leod” i nie dadzą mi małej pensyjki, ażeby móc osiąść na lądzie, a może i kopniaka, jeszcze przed tym.

— Nie, nie, Fred... Ja się nie śpieszę; odpływamy dopiero za godzinę, a tymczasem — Goddemit steward! Co tam za hałasy u góry? — a tymczasem posiedź tu u mnie w kabinie; wypijemy jeszcze butelkę Chianti i pomówimy o starych czasach.

— Zaraz, ileż to lat, Fred? Dwadzieścia? Trzydzieści? — he. Dwadzieścia pięć — uh - hu - dwadzieścia pięć, dokładnie. Kawał czasu, Fred. I gdyby nie to twoje nazwisko na liście pasażerów, to bądź pewny, że nigdy bym cię nie poznał.

— Hell's bells, ale byliśmy wtedy młodzi, Fred. Miałeś chyba nie więcej jak dwadzieścia lat, a ja nie byłem wiele starszy od ciebie. No tak. W tym wieku zaczyna się morską karierę. Jeśli nie wcześniej. Dobry wiek, Fred; dobry wiek, wiele bym dał, żeby wrócić te lata.

— Zaraz. Czy ty pamiętasz Dunky Finna? To był numer, co? Nazywaliśmy go „Postrachem Arizony”, chociaż sam nie wiem dlaczego. Pochodził przecież z Rhode Island. Ale do diabła, nie w tym sęk, to przecież nie jest ważne. Chciałem ci tylko przypomnieć, że to on nas poznał właściwie.

— Czy pamiętasz tę burdę koło saloonu Mike'a Sweeney? My God, Freddie, gdyby nie ty, nie wiem czy byłbym dziś kapitanem na „Hultarg”. Wyobraź sobie — kapitan bez lewego ucha. I to na transatlantyku. Czy widziałeś kiedy taki fenomen? Nie. Otóż to. I gdyby nie ty, to nie miałbym dziś ani posady na „Hultarg”, ani lewego ucha, bo Dunky Finn chciał mi właśnie zoperować go swym sta-

wetnym nożem, podczas tej bójki koło saloonu, gdy ty podbiłeś mu łokieć i cios poszedł w próżnię — fiut — ot tak. Pamiętasz? Nie? Well, to przypomnij sobie, bo tak się zaczęła nasza przyjaźń. W wirze walki, że tak powiem, wśród per... per... — oh, do diabła, Fred; wiesz, że nie celuję, w doborze określić.

— No więc widzisz, teraz, gdy spotkałem ciebie, wszystko dawne tłoczy mi się do głowy. Obrazy, obrazy, obrazy. Nie, Fred, nie możemy narzekać na naszą młodość. Była barwna i burzliwa; robiliśmy przecież wszystko, żeby ją urozmaicić; chociaż czasem i wtedy opanowywały nas chwile jakichś pragnień, Bóg wie czego, ale to już zawsze tak jest... Jeszcze, kieliszek Fred?... Nie, to nie zaszkodzi... i cygaro... Havanna brand... Dla dobrych gości — jak to się mówi... He... he...

— Tak, Fred, widzę teraz wszystko, tak wyraźnie, jakby ktoś taśmę przewijał mi przed oczyma. „Manassa”, „Sothorn”, „Seven Points” — wszystko widzę. „Manassa” była, zdaje się, pierwsza. To zaraz po tej awanturze koło saloonu, kiedy Dunky Finn chciał obciąć mi ucho, a ty nawinąłeś się w stosownej chwili. Tak. Zaciągnęliśmy się na nią razem, przy przystani starej „Wilson Navigation”, przy South street. — Pamiętasz? Dobre czasy, Fred. „Manassa” — to było stare pudło — to inna rzecz — ale, goddam, chłopcy w Lloydzie mogli spać spokojnie, gdy wychodziła w morze. Zawsze mówiłem, że jest jak stara, doświadczona krowa; z zawiązanymi oczyma trafi do obory, choćby nie wiem ile przeszkód rzucano jej pod nogi.

— Pamiętasz ten sztorm koło Biskaj — he? Hell's bells, Fred. Myślałem wtedy, że rozwali ją jak gliniany dzban, ale nie stało się nic podobnego. Dwadzieścia statków poszło wówczas na dno; shipping zdezorganizowany, SOS co chwila, marconi-man biega co sekunda na mostek, ze spuchniętymi uszami, a „Manassa” rżnie fale, tnąc jak nożem, wywraca się, tarza, wiruje — nic jej Biskaja i cały ocean — bo są statki jak ludzie — mocne jak dęby; do końca mocne i wytrzymałe.

— Mieliśmy wtedy stracha, Fred, wszyscy. Po raz pierwszy w życiu modliłem się, jak dewotka. I ty też klepałeś pacierze. Tego nie zapomnę. Zresztą coś dziwnego. Łódzie zdruzgotane, ster zacina się, morze łupi ze wszystkich stron, a stary, otyły Flynn, jak Belzebub stoi na mostku z czerwoną twarzą; zdawałoby się rzuca wyzwanie, a my na dole udajemy, że nam też odwagi nie brakuje, choć Bóg jeden wiedział to lepiej.

— To był rejs! Pamiętam, że jak ze-

szliśmy tylko na brzeg, od razu rozchorowaliśmy się na lądową chorobę. A ten właściciel bistro — bo to w całej tej dziurze było tylko jedno bistro — musiał posłać po wódkę do sąsiedniego miasta; wytrąbiliśmy mu w godzinę cały sklep.

— „Manassa”. Wspaniałe chwile, Fred. Niewiele takich przeżyłem, choć wiesz, że na morzu spędziłem prawie całe życie.

— A „Sothorn”, Hell, Fred. To był drugi dobry numer. Ileż to rejsów zrobiliśmy na nim? Z dziesięć, chyba, co? Tak, tak ja zawsze mówiłem, że stary Anderson ma nieczyste sumienie. To była mocno podejrzana sprawa. I coś się okazało — opium. Szmuglował w swojej kabinie, rozumiesz; skrytki w ścianach, schówki w podłodze, nawet — wentylatorach. Poszedł na dziesięć lat do Dannemora. Ale to już nie twoje czasy, Fred.

— Ale tak, ten „Sothorn”. Gdzieśmy tylko nie walęsali się na nim? I ta załoga. Jak potępieńcy. Twarze niegłolone od tygodnia, koszule w strzępach, spodnie bez nogawic, podpasane kabelgarnem, z tyłu łaty z brezentu — hell's bells. Pamiętam, jak pilot, który wprowadzał nas do Georgetown, włazłszy na pokład po sztorm - trapię, chciał zaraz wiać z powrotem. Mówił po tym do kapitana na mostku: — „Dwadzieścia lat, mr. Anderson, wprowadzam tutaj różne statki, ale takiej załogi, jak pańska, jak Bóg mi miły, jeszcze nie widziałem”. Ha, ha... Anderson mu na to tak: — „For heaven's sake, pilocie. Co pan chce właściwie. Przecież specjalnie wystroiłem ludzi na pańskie przyjęcie”. Śmialiśmy się wtedy do rozpuku, ale pilot miał poważną minę; widocznie nie wyczuł pointy, a może udawał tylko, że jej nie wyczuwa.

— No i był tam jeszcze Frankie Dodge. Pamiętasz go? Ten co wyciągał węże z ust. Goddam, to był trick. Dawałem mu raz pięć funtów by mi pokazał to od kuchni, ale on nie chciał o tym słyszeć. — Było to w Rio, zdaje się. Poszliśmy razem do Rodero bar. Sure, to było w Rio. I ty też byłeś z nami; cała załoga poszła razem, na i Frankie też.

— Wchodzimy do „Rodero”, rozumiesz, a Frankie od razu podchodzi do barmana, opiera się o ladę, i patrzy nań współczująco i cmoka z politowaniem „tck, tck, tck”. „Co jest, sinor?” — pyta barman, a Frankie pokazuje mu na usta i mówi: — „Otwórz. Połknąłeś przedni ząb”. Barman otwiera usta, Frankie robi kilka passów i z gardzieli barmana wyłania się potężny wąż. Optyczne złudzenie, rzecz prosta, ale w barze zawrzało, jak w ulu: mężczyźni w nogi, kobiety w krzyk; kilka zemdłało; Frankie w zamieszaniu wypił pół butelki gine'u na rachunek Ro-

Znaleziono na: www.magemar.com.pl

MS
MAGEMAR

dero bar, a policja zabrała nas do „callaboose”. Siedzieliśmy dwa dni, pamiętasz?

— Well, a potem „Mary Ann”, „Croton”, „Farnell”, „Gorama” — inne statki, inni ludzie. Ale my zawsze byliśmy razem. Przez siedem lat, Fred. Wariackie to było życie, ale ja nie narzekałem. No i potem „Seven Point” i ten rejs do Sabango.

— Tak, ja wiem. Są rejsy, jak passy w życiu — fatalne, nieszczęśliwe. Taki był ten rejs. Któż to wie, kto przyniósł tę febrę na statek. Może Miller, może Flint — obaj zachorowali jednocześnie. A potem wszyscy — jeden po drugim; położyło nas pokotem. Fatalna choroba. Trzęsłem się jak liść. Cały statek trząsł się od febrы. Wszyscy wychudliśmy, jak szkielety. Ledwo mogliśmy nogami poruszać. Depresja ogólna. Rezygnacja i niechęć, zupełna niechęć do tego wszystkiego. Pamiętam, jak dziś, jak powiedziałeś mi, gdy staliśmy na wachcie przy luku: — „No, ja mam tego dość, Mac”.

— Był to jakby finał, koniec rozdziału — to twoje słowa. I ja też powtórzyłem sobie w myślach: — „Tak, trzeba skończyć z tym. Siedem lat — to wystarczy. Teraz muszę zmienić to wszystko”.

— Powiedziałem ci nawet wtedy, że osiade na lądzie i ożenię się — miałem wówczas dziewczynę — nazywała się Lucy; a ty też zwierzyłeś mi się ze swoich planów.

— Ostatecznie wszystko się kończy — pocieszałem siebie. — Przecież i Mickey Farrell, i O’Toole, i nawet Frankie Dodge (ten śmieszny Frankie, który wyciągał węże z ust) też rzucili to wszystko i żyli już na lądzie spokojnym życiem, a nie tak jak my, tłukąc się z kąta w kąt po całym świecie na różnych statkach, gdzie człowiek jest tylko niewolnikiem na żelazie, przykuty do pokładu, jak do taczki. Powiedziałem to tobie, wówczas, a ty zgodziłeś się ze mną.

— No i ot przyjechaliśmy do New Yorku i tu rozeszły się nasze drogi. Ty pojechałeś do Chicago, a ja zostałem tutaj na miejscu.

— Myślę sobie wtedy, gdy zszedłem ze statku, gdzie tu pójść?, co robić? I naraz przypominam sobie Mickey Farrell — tego co był z nami na „Manassie”.

— Tak, on nie pływał już od dwóch lat: osiadł w Brooklynie, wiedziałem to od chłopców, i miał, zdaje się, statą pracę, gdzieś na budowie.

— Dobrze — myślę sobie, zobaczę go — on mi coś wynajdzie. Szukałem go długo; mieszkał gdzieś na Coney Island u czorta za piecem i ja wyobrażałem sobie, że ujrzę go już na łonie rodziny: — żona, może dziecko, mieszkanie małe — firanki, serwetki: — ot wiesz taki przytulny kąt.

— No i cóż powiesz, Freddie? Gdzież był ten Mickey Farrell? Tam? O, nie. Mickey Farrell nie był tam. Mickey Farrell wyprowadził się — nie był nawet w New Yorku. Mickey... O, hell, Freddie, Mickey nie wytrzymał; wrócił. Tak, wrócił na te dawne szlaki, w ten świat niepewności i niewygód; w świat



Krążyłem po ulicach...

stali i żelaza i turkoczących wincz i burz i wiatrów; nie rozumiałem wtedy, jak można było zrobić takie głupstwo.

— No, no, myślę sobie, jeśli Freddie wrócił, to trzeba zobaczyć się z Eddie O’Toole. Ten zawsze miał mocną głowę. Żadnych sentymentów — praktyczny człowiek pod każdym względem; już od roku osiadł na lądzie. Pojechałem do niego w drugi koniec miasta, szukałem go długo, aż wreszcie odnalazłem adres.

— Właścicielka pokoiów długo nie mogła go sobie przypomnieć... O’Toole... O’Toole... Powiedziałem jej, że był marynarzem. — Oh, był marynarzem... O’Toole... Tak, tak, przypominała go sobie; sure, mieszkał u niej siedem miesięcy — ale wyprowadził się; mówił, że jeśli kto będzie pytał o niego, to ma powiedzieć, że pływa znowu na „Tacoma”. I jeśli mam list dla niego, mogę zostawić u niej.

— Nie, nie — nie miałem żadnych listów. — Chciałem zobaczyć Eddie O’Toole, ale... Był God, co ciągnęło tych ludzi z powrotem. To było dziwne i zastanawiające. Szedłem ulicą długo, długo i myślałem nad tym. Wreszcie powiedziałem sobie, że muszę zobaczyć się z Frankiem Dodge.

— Frankie Dodge mieszkał w Bronx; pojechałem tam i Frankie, gdy mnie zobaczył, omal nie rzucił mi się na szyję. Tak, Freddie, ale to już nie był ten sam Frankie co dawniej. Był to zatroskany człowiek; trzy lata życia na lądzie zmieniły go porządnie.

— No i jak, Frankie? — pytam go. — Jak ci się powodzi? — Powiedz mi wszystko...

— Gadaliśmy z nim do późna wieczór; zdawał się nawet być zadowolony ze swego losu; przecież miał to co chciał — miał dom i żonę i dziecko — miał grunt pod nogami; to czego pragnął. No, pomyślałem sobie, przynajmniej ten wie czego chce. I gdy żegnaliśmy się, uściśnięłem mu rękę i zaczęłem mu życzyć wszelkich pomyślności. A on wtedy obejrzał się za siebie, podszedł do mnie bliżej i powiedział jakimś dziwnym, zczyszonym głosem:

— Wiesz, Mac, gdyby nie to —

wskazał ręką na swe małe mieszkanie. — Gdyby nie to, Mac, rzuciłbym ja wszystko w diabły i wróciłbym znowu na słoną wodę. To było życie... — w oczach jego zabłyśły ogniki wspomnienia. — „Manassa”, „Sothern”, „Gorama” — często myślę o tym. — Ale to już minęło — i nie wróci nigdy. Ty jesteś szczęśliwy, Mac”.

Gdy wyszedłem na ulicę, słowa jego brzmiały mi w uszach, jak refren. Jakież to było dziwne. Wszyscy szukaliśmy czegoś. Wszyscy goniliśmy za czymś. A Frankie Dodge, teraz, gdy miał to czego ja właśnie pragnęłem, mówił mi z zazdrością — „Jesteś szczęśliwy, Mac”. — Skreśliłem w ulicę. W jedną, w drugą. Szedłem przed siebie i myślałem, myślałem, jak nigdy. Tak, musiałem coś postanowić — wybrać: morze albo ląd.

— Nie pamiętam już, jak długo chodziłem po ulicach tej nocy. Byłem w zupełnej rozterce: — siedem lat na morzu, tego nie rzucił się z siebie, jak stary płaszcz. Nie. To przylega mocno, Fred.

— Krążyłem po ulicach tam i z powrotem, jak maniak. Zatrzymywałem się, skręcałem, szedłem znowu. Włóczył się za mną, prosząc o datki. Dawałem im i szedłem dalej. I oto naraz przyszło mi do głowy, że wyglądam tu na tych mrocznych ulicach niczym człowiek, który szuka szczęścia. Jak Frankie, jak O’Toole, jak Farrell. Cóż mogłem znaleźć na tych pustych zaułkach! — nic. Co oni mogli znaleźć w tej stałej pogoni? — Nic, Fred, nic.

— Niepokój wiecznie żre nasze serca, pragnienie wiecznie jest nienasycone — nigdy zadowolenia, zawsze tęsknota za czymś dalekim, nieosiągalnym, urojonym. Tacy już jesteśmy, Fred. A więc to już nie robi różnicy — czy tu, czy tam. To drobiazg — nieważny szczegół. Ważne jest tylko to, co się nosi w sobie...

— Skreśliłem w jeszcze jedną ulicę. Z oddali dochodziły odgłosy syren — to promy mijaly się na East River. Poszedłem tam. Poryw wiatru uderzył mnie nagle w twarz. Westchnąłem głęboko, poczułem zapach słonej wody — znajomy zapach przystani i morza. Szedłem przyspieszonym krokiem, tak jakbym się bał, że coś ucieka przede mną. Z przystani było słychać turkot wincz; to jakiś statek ładował po nocy. Szedłem coraz szybciej i szybciej. Wiedziałem teraz, że idę obraną drogą. Byłem tego zupełnie pewny. Szedłem wprost przed siebie, prostym szlakiem, który w końcu zaprowadził mnie tutaj na „Hultarg”.

— No i tak, Fred. Teraz więc widzisz — Dlaczego? Owszem, miałem zamiar puścić to w diabły — nie przeczę — ale wszystko poszło inaczej...

— Co?... Come in Mr. Finley!... Co pan mówi?... Pilot na pokładzie?... Dobrze zaraz tam będę... Panowie się nie znają?... Mr. Finley — nasz starszy oficer i mój stary przyjaciel Fred Durant... Jeszcze szklaneczkę, Fred... To nie zaszkodzi... I cygaro... Hawanna brand — dla dobrych gości — jak to się mówi... he.

L. CWAŁINA

Znaleziono na: www.magemar.com.pl

MAGEMAR

SPRAWY KOLONIALNE

SZKOLENIE ROLNIKÓW KOLONIALNYCH

Do szeregu zagadnień, składających się na racjonalną eksploatację bogactw kolonialnych — należą również sprawa wychowania odpowiednio uświadomionych i przygotowanych kolonialistów.

Chcąc coś zrobić mniej lub więcej udanie, trzeba przede wszystkim posiadać do tego odpowiednie wiadomości i umiejętności; trzeba prowadzić badania poznawcze i wykorzystywać je następnie w praktyce. Istnienie i ciągły kontakt teorii z praktyką — stanowi o powodzeniu i ciągłym postępie i ulepszeniu każdej działalności. Ponieważ zaś w sprawach kolonialnych podstawą działalności jest zwłaszcza produkcja surowców roślinnych, przeto najważniejszą rzeczą w eksploatacji terenów kolonialnych było stworzenie teoretycznej i praktycznej wiedzy rolnictwa kolonialnego i wykształcenie fachowców — rolników kolonialnych.

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



Jest to wiedza zupełnie odrębna, fach mało przypominający rolnictwo europejskie. Warunki gleby, możliwości nawożenia, klimat, dotychczasowe sposoby uprawy, sprawa pracowników — wszystko to przedstawia się zgoła inaczej w koloniach niż w Europie. Poza ryżem, żadne zboże nie jest uprawiane w celach handlowych. Ogromna większość, prawie całość upraw kolonialnych, to drzewa, jak np. kauczukowe, kawowe, lub kakaowe, lub krzewy, jak bawełniane, herbaciane itd. A więc i warunki i środki uprawy i przygotowanie do handlu produktów kolonialnych — są zgoła różne niż w Europie. Z tego powodu kształcenie fachowców w tej dziedzinie jest konieczne dla racjonalnego wyzyskania posiadłości kolonialnych.

W trosce o należyte, zgodne z duchem postępu wykształcenie kadr kolonistów, w szeregu państw powołano do życia specjalne naukowe instytuty kolonialne, głównie zaś w Anglii, Holandii, Francji i Belgii.

Jednym z takich zakładów jest „Institut National d'Agronomie de la France d'Outre-Mer” w Nogent-sur-Marne pod Paryżem. Jest rzeczą charakterystyczną, a dla Polaków wielce zaszczytną, że zakład ten został ufundowany przez francuskie Ministerstwo Kolonii na skutek długich i żmudnych zabiegów Polaka, Jana Dyboskiego, który był uczonym znawcą kolonii i znanym badaczem kolonialnym w służbie rządu francuskiego. Instytut założono w 1904 roku, a jego wykładowcą i dyrektorem przez długie lata był jego założyciel. Jeśli zważymy, że zakład ten wykształcił już od chwili swego założenia tysiąc inżynierów agronomii kolonialnej, którzy w koloniach objęli także ilość stanowisk na placówkach naukowych, technicznych, handlowych itp., którzy ożywili i podnieśli kolonie francuskie na wysoki stopień pod względem kultury materialnej i ogólnej — to musimy dla tego zakładu nabrać nie małego uznania.

Przyjrzyjmy się bliżej sposobowi kształcenia w omawianym instytucie. Opuszczający go inżynierowie agronomii kolonialnej mają z góry zapewnione stanowiska. Toteż i dobór kandydatów jest staranny, bo dopuszcza się ich do studiów dopiero po zdaniu egzaminu konkursowego, do którego mogą stawać tylko inżynierowie agronomii, którzy ukończyli normalne wyższe studia rolnicze. Zająć szkolnych mają średnio około ośmiu godzin dziennie, a w ciągu dziesięciu miesięcy nauki, słuchacze muszą zdać pięćdziesiąt egzaminów.



Zbiór bawełny

Program ułożony jest raczej z uwzględnieniem strony praktycznej, z teorii podając rzeczy tylko konieczne, najważniejsze, co usprawiedliwione jest tym, że słuchacze ze szkoły poprzedniej muszą już znać teoretyczne podstawy wiedzy rolniczej. Takie umiejętności jak szczepienie drzew, przechowanie, pakowanie nasion i produktów do wysyłki, urządzenie rozsadników itp., mieszczą się w specjalnym dziale programu. Tu należy też dokładna znajomość roślin tropikalnych, które się eksploatuje, wielu gatunków drzewa kolonialnego, kauczuku, sortymentów herbaty, odróżnianie kawy, np. grubej „liberii” od drobnej „arabskiej”, którą łatwo pomieszać z „robustą”, „excelsą” czy „niauli”, — dalej odróżnianie włókna bawełny od kapoku, abaki z włókna banana od sisalu z agawy itd., rozpoznawanie sfałszowania kauczuku, olejków, tłuszczów itp. Wszystkie produkty kolonialne, których jest przeszło dwieście, muszą być dokładnie a wszechstronnie poznane. Na licznych zaś wycieczkach poznaje się sposób przemysłowego przerobu i handlowego przygotowania tych produktów, oraz aparaty i maszyny, służące do tego celu. Najważniejsze choroby roślin, jak np. *Hemileia vastatrix* na kawie, *Fomes* na herbacie i drzewie kauczukowym i mnóstwo innych grzybków, obserwuje się na okazach oryginalnych. Tak samo szarańcza, jak i *Gelechia gosypiella*, motyl, który ogromne szkody wyrządził w plantacjach bawełny w Egipcie, i wszystkie inne ważniejsze owady. Słowem, poznaje się wszystko, co się może przydać praktycznie w koloniach.

Wykłady zapoznają gruntownie z całą uprawą i jej warunkami wszystkich pożytecznych roślin. Duży dział roślin lekarskich, jak: chinina, kamfora, kokaina, opium i cały szereg innych roślin, dających ważne alkaloidy — jest potraktowany wyczerpująco. Tak samo rośliny przemysłowe, jak wiele drzew, dających cenne żywice, gumilakę, substancje garbnikowe, olejki pachnące, kawa, herbata, kakao — stanowią również duży dział programu.

Poznaje się też gruntownie wszystkie rośliny, dające tłuszcze. Wbija się w głowę słuchaczom, że potrzebna jest dla państwa specjalna polityka „tłuszczowa” z powodu roli, jaką tłuszcze grają w czasie wojny.

Rośliny, dostarczające włókien: bawełna, rami, juta, kapok, kokos, banan, paka da i inne są traktowane również wyczerpująco. Tak samo tytoń, owoce kolonialne, wszystkie przyprawy korzenne, barwniki roślinne, ryż i rośliny dostarczające żywności.

Obok czysto rolniczych przedmiotów ważne miejsce zajmują przedmioty pomocnicze. Technologia, omawiająca dokładnie przerób przemysłowy produktów kolonialnych, jest przedmiotem najobszerniejszym, obejmującym czterdzieści wykładów. Geografia, ekonomia, administracja są również uwzględniane. Uczą się słuchacze wygłaszać przemówienia i redagować raporty. Zapoznają się również dokładnie z higieną, bo na plantacjach często sami muszą być lekarzami. Hodowla zwierząt w koloniach jest obszernie potraktowana. Wreszcie su-



Na plantacji sisalu

rowce pochodzenia roślinnego, zwierzęcego i mineralnego, jak np. воск, lak, miód, kość słoniowa, jedwab, perły, minerały itp. itp. są pokrótce, lecz dokładnie omawiane. Znalezione na: www.magemar.com.pl/

Po ukończeniu takiego zakładu, absolwent jest gruntownie a wszechstronnie przygotowany do objęcia każdej placówki w koloniach. Rzecz jasna, że bezpośrednie zetknięcie się praktyczne z pracą na plantacjach jest ze wszechmiar pożądane i konieczne. Ale to praktyczne doświadczenie przychodzi szybko, a gruntowna znajomość teorii umożliwia stałe wprowadzenie ulepszeń i stały postęp danej placówki. Kontakt z zakładami naukowymi, znajdującymi się pod kierunkiem Instytutu, który za ich pośrednictwem prowadzi i centralizuje badania naukowe we wszystkich kierunkach — zapewnia, dzięki takim fachowcom, ciągły postęp i utrzymywanie się na najwyższym poziomie technicznym. W dodatku wzbogaca produkcję kolonialną świeżymi uprawami stale znajdowanych i wypróbowanych roślin o nowych i pożądanych właściwościach.

Można też śmiało stwierdzić, że dzięki postawieniu na odpowiednim poziomie sprawy kształcenia rolników kolonistów, produkcja kolonialna tak bardzo w ostatnich czasach się rozwinęła, uporządkowała i zracjonalizowała technicznie, ekonomicznie i organizacyjnie.

ZYGMUNT JAKIMIAK
inżynier agronomii kolonialnej

PRZEGLĄD KOLONIALNY

Kampania kolonialna w Niemczech nabiera coraz mocniejszych akcentów i przenosi się z łamów prasy i zamkniętych zebrań na teren masowych wieców.

W dn. 23.X br. odbył się w Erfurcie wielki wiec tamtejszego okręgu Związku Kolonialnego z udziałem 2 tysięcy osób. Wiec ten był wstępem do całego szeregu podobnych zebrań. Przemówienia, wygłaszane tego dnia, poruszały znane już ogólnie zagadnienia „kłamstwa kolonialnego”, konieczności zwrotu Niemcom kolonii, ich słusznego prawa do udziału w korzystaniu z bogactw kolonialnych itp.

Są to tematy, powtarzające się stale w tej lub innej formie we wszystkich artykułach prasowych, manifestacjach i deklaracjach niemieckich — obecnie jednak nabierają one charakteru coraz konkretniejszych żądań.

Jak donosi „La Nation Belge” z dn. 27.X br., ambasador von Ribbentrop w czasie swoich ostatnich rozmów z Mussolinim sprecyzował jako minimum niemieckich żądań kolonialnych — zwrot Togo, Kamerunu i Ruandy-Urundi oraz oddanie dużej części Afryki pod kontrolę międzynarodową, składającą się z przedstawicieli Wielkiej Brytanii, Niemiec i Włoch.

Gen. von Epp, kierownik Urzędu Kolonialno-Politycznego N. S. D. A. P. w odczycie, wygłoszonym dn. 21.X br. w Towarzystwie Szwedzko-Niemieckim w Sztokholmie, mówiąc o niemieckim problemie kolonialnym, podkreślił, że rozwiązanie tego problemu może jedynie zapewnić tak

bardzo obecnie w świecie potrzebny, pokój. W dn. 29.X br. przemawiał ponownie na ten temat w Monachium na Kongresie Akademii prawa niemieckiego, na komisji prawa kolonialnego i oświadczył, że Niemcy zgodnie z tym, co mówi ich Führer, domagają się likwidacji obecnego stanu posiadania kolonialnego, celem usunięcia „trudności ekonomicznych, które dla narodu niemieckiego wypływają w wielkiej mierze ze straty swoich kolonii”.

Prof. Schultze, dyrektor Instytutu Ekonomii Międzynarodowej w Lipsku w dn. 29.X br. miał wykład w Magdeburgu, w którym umotywował obszernie niemieckie żądania kolonialne względami gospodarczymi.

Niemiecka kampania kolonialna dosięgła szczytu po mowie Mussoliniego w dn. 28.X br., w 15-tą rocznicę marszu na Rzym, w której Mussolini oświadczył, że „jest rzeczą konieczną, aby naród niemiecki miał swe należne miejsce pod słońcem Afryki”.

Mowa Mussoliniego, zawierająca formalne poparcie roszczeń niemieckich, ogłoszona została na pierwszym miejscu we wszystkich niemieckich dziennikach. „Mussolini żąda kolonii dla Niemiec”, „Mussolini domaga się rewizji traktatu wersalskiego”, „Mussolini uznaje usprawiedliwione żądania Niemiec” — oto tytuły całego szeregu artykułów, które ukazały się w prasie niemieckiej.

Na posiedzeniu Izby Gmin z dn. 1.XI br. min. Eden oświadczył, nawiązując do ostatniego wystąpienia Mussoliniego na rzecz nie-

mieckich roszczeń kolonialnych: „Nie przyznajemy żadnemu rządowi prawa domagania się od nas koncesyj terytorialnych, gdy nie ma najmniejszych dowodów, że tenże rząd gotów jest odstąpić cokolwiek ze swych własnych obszarów kolonialnych”.

W pierwszych dniach października odbyła się w Scarborough konferencja angielskiej partii konserwatywnej, która jednomyślnie powzięła rezolucję, stwierdzającą integralność poszczególnych części Imperium.

Rezolucja stwierdza że: wszelkie propozycje zmierzające do rozdzielania Imperium przez wyrzeczenie się suwerenności w koloniach brytyjskich stanowiłyby oczywiste zaprzeczenie prawa własności narodowej i prywatnej, zdradę mieszkańców kolonii i byłyby klęską dla interesów naszych rodaków, pracujących w fabrykach Wielkiej Brytanii, jak też w produkcji zamorskiej”.

Sir Page Croft oświadczył ponadto — „Jeśli Hitler stwierdza, że kolonie znajdujące się pod mandatem brytyjskim, prawem moralnym należą się Niemcom, musimy odpowiedzieć, że gdybyśmy mieli uznać to żądanie, uznalibyśmy jednocześnie, że Niemcy moralnie mieli słuszość, wkraczając do Belgii”.

Rezolucja powzięta w Scarborough przez Kongres Konserwatystów, była komentowana w sposób nader ostry przez prasę berlińską.

„Lokal Anzeiger” pisze mianowicie: „Nie można dyskutować z takim nastawieniem i z takimi przemówieniami. Należy żałować, że po 18 latach brytyjskiej polityki dyktatu, który nie osiągnął swego celu, takie deklaracje mogą mieć miejsce w Anglii bez wywołania sprzeciwu.

„Berliner Tageblatt” pisze: „Uwaga, że Niemcy nie mają większego prawa do zwrotu swoich kolonii, niż do posiadania Belgii, jest niejako uznaniem, że Anglia uważa te kolonie jako swój łup wojenny. Taka rewelacja poglądów konserwatystów angielskich jest zdumiewająca. Nie zapomnimy jej nigdy”.

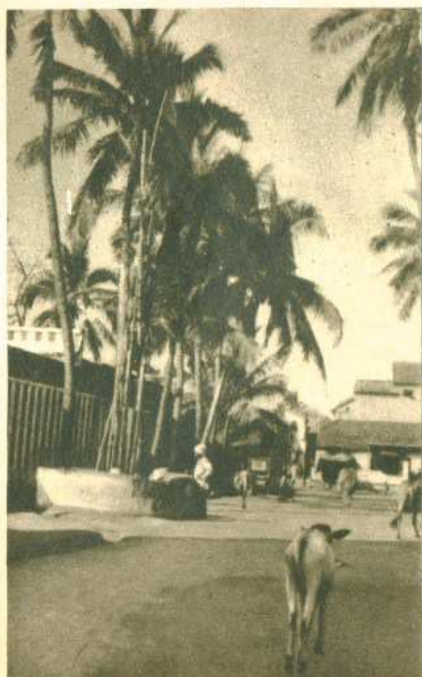
Mr. Amery w przemówieniu, wygłoszonym w Birmingham, wyraził swój pogląd na kwestię niemieckich żądań kolonialnych, partych przez Mussoliniego.



Indie — świątynia hinduska w Madrasie

Znaleziono na: www.magemar.com.pl





Indie — studnia w mieście Madura

Mr. Amery stwierdził, że zwrot Niemcom kolonii naraziłby na wielkie ryzyko bezpieczeństwo nie tylko Anglii, ale wszystkich dominiów brytyjskich, oraz byłby postępkem niełojalnym w stosunku do tubylców.

„Możemy porozumieć się z Niemcami na płaszczyźnie ekonomicznej — mówił Mr. Amery — ale nie mamy prawa ulegać groźbom jednego lub dwóch dyktatorów, jeśli to miałyby być ryzykowne dla bezpieczeństwa naszego, lub też zdradą tych, którzy nam zaufali“.

We wszystkich koloniach angielskich a zwłaszcza wschodnioafrykańskich śledzona jest z niezmierną uwagą ewolucja pewnych poglądów w Wielkiej Brytanii, które skłaniałyby się na korzyść zwrotu Niemcom ich dawnych kolonii.

Problem ten poruszył tym więcej ludność europejską we Wschodniej Afryce Brytyjskiej, że kilka tygodni temu wydarzył się tam fakt doniosły, będący niejako odpowiedzią na powyższe pogłoski.

Minister obrony Południowej Afryki Pirow i płk. Muirhead, angielski podsekretarz stanu lotnictwa, spotkali się w Mombasa. Jak donosi „Essor Colonial et Maritime“ z dn. 31.X br. spotkanie to miało na celu uzgodnienie środków obrony terytoriów południowo-afrykańskich i sąsiadujących kolonii angielskich.

Ponadto, jak donosi wyżej

wspomniane pismo — przewidziane jest wydatkowanie poważnych sum dla zorganizowania obrony lotniczej tych ostatnich terytoriów, które do tej pory posiadały tylko jedną zwykłą eskadrę stacjonowaną w Nairobi. Rząd angielski zdecydował się w szybkim tempie powiększyć środki obrony tych terytoriów i w tym celu zakupił np. 350 akrów ziemi koło Mombasa dla stworzenia lotniska wojskowego.

Pisma angielskie, francuskie i belgijskie „Manchester Guardian“, „Action Française“, „La Nation Belge“ powtarzają tę samą wiadomość, że w Niemczech ma powstać specjalne biuro, którego zadaniem będzie centralizowanie wysiłków i prac propagandowych w dziedzinie kolonialnej.

Na czele tego biura ma podobno stanąć ambasador von Ribbentrop. Biuro powyższe, według intencji rządu niemieckiego, ma być zaczątkiem przyszłego ministerstwa kolonii III-ej Rzeszy.

W ostatnim tygodniu października rb. radio londyńskie zorganizowało szereg pogadek p. t. „Ochrona dzikiego życia“. Między innymi przemawiał belgijski ambasador baron de Cartier de Marchienne, który w swoim referacie omawiał konieczność międzynarodowej współpracy w wielkim dziele ochrony naturalnych piękności, flory, fauny i prymitywnych kultur Afryki tropikalnej.

Baron de Cartier dał kilka interesujących szczegółów o tym, co robi Belgia w powyższym zakresie.

W Kongo Belgijskim istnieją już od 1934 r. parki narodowe, które mają się stać rezerwatami flory i fauny afrykańskiej, oraz jej prymitywnego życia nie dotkniętego jeszcze cywilizacją europejską.

Obszar tych parków z 700.000 akrów w r. 1934 zwiększył się obecnie do 2.500.000 akrów.

W Anglii powstały dwie nowe instytucje kolonialne, mianowicie Colonial Empire Marketing Board i Colonial Empire Union.

Pierwsza z tych instytucji, której inauguracyjne zebranie pod przewodnictwem sekretarza stanu Ormsby-Gore odbyło się 20.X rb., ma się zająć pracą nad rozwojem zbytu artykułów kolonialnych, pochodzących z angielskiego obszaru kolonialnego.

Druga — zajmie się opracowa-

niem zagadnień polityczno - gospodarczych, które wymagają wyjaśnienia i rozwiązania.

Opracowywane tematy mają być w postaci wniosków przedstawione centralnym władzom kolonialnym angielskim.

Zakres pracy obu instytucji wskazuje na dążność scentralizowania zagadnień kolonialnych i zespolenia gospodarczego obszarów imperialnych.

Rząd belgijski w projekcie budżetu na r. 1938, świeżo przedłożonym parlamentowi, skreślił subwencję udzielaną zazwyczaj przez metropolię dla Kongo.

Fakt ten wywołał gorący protest. W dn. 11 października br. odbyło się nadzwyczajne walne zebranie Stałego Komitetu Narodowego Kongresu Kolonialnego na którym jednogłośnie uchwalono założyć protest przeciwko tej decyzji.

Kongres w uchwale swojej stwierdza między innymi, że budżet kolonii jest obciążony całym bezpośrednim i pośrednim długiem, stanowiącym więcej, niż 45% wpływów, a wypływającym z wydatków dokonywanych dla inwestowania tej kolonii. Jeśli kolonia ta (Kongo) — stwierdza dalsze uchwała — ma ponosić cały ciężar wydatków inwestycyjnych i administracyjnych, to Belgia tylko z tego korzysta, ponieważ większa część tego, co się inwestuje w kolonię, powraca do Belgii w formie płatności za dostawy belgijskim przemysłowcom i kupcom w formie dywidend towarzystw kolonialnych i oszczędności, robionych przez funkcjonariuszy z pensji, które im są wypłacane.

Kongres w uchwale swojej podkreśla olbrzymie usługi, oddane przez Kongo Belgii zarówno w zakresie moralnym, jak i materialnym, w czasie pokoju i wojny.



Widok znanej Wytwórni Win
H. MAKOWSKI w Kruszwicy
Gen. Przedstawicielstwo na Amerykę
firma
AUSTIN, NICHOLS & Co
Brooklyn N. Y.

Z ŻYCIA MARYNARKI WOJENNEJ



Nowomianowani podporucznicy Marynarki Wojennej na Zamku Królewskim w Warszawie

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



Polska. W dniu 15-go października odbyła się na O.R.P. „Bałtyk” uroczysta promocja podchorążych korpusu morskiego (11-ta promocja) i korpusu technicznego (2-ga promocja) na podporuczników marynarki. W zastępstwie Pana Ministra Spraw Wojskowych wystąpił Szef Kierownictwa Marynarki Wojennej, wręczając obu prymusom honorowe szable. Następnie oficerowie floty podejmowali swych młodszych kolegów śniadaniem w Kasynie Oficerskim.

W dniu 17-go tegoż miesiąca miała miejsce w Wejherowie uroczystość wręczenia sztandaru 1-mu Baonowi Morskiemu, który przejął w myśl rozkazu organizacyjnego chlubne tradycje dawnego Baonu Morskiego z czasów wojny z bolszewikami. Na uroczystości był obecny Minister Spraw Wojskowych, który przyjął dar miejscowego społeczeństwa dla baonu w postaci 11 ciężkich karabinów maszynowych.

W dniu 24-go października przybyła do Gdyni delegacja 1-go pułku Strzelców Podhalańskich celem wręczenia załodze

O.R.P. „Wicher” odznaki tego pułku. Po części oficjalnej delegacja była podejmowana śniadaniem w messie oficerskiej, po czym zwiedziła okręty, port wojenny i handlowy.

Niemcy. W dniu 4-go października sformowana została III-cia flotylla okrętów podwodnych, w skład której wchodzi 11 jednostek typu po 250 ton. Kanclerz Hitler ochrzcił ją imieniem porucznika Lohsa, który w czasie wielkiej wojny, jako dowódca „U 50”, wykazał rzadko spotykaną dzielność i zginął wraz ze swoim okrętem u wybrzeży angielskich.

I-sza flotylla okrętów podwodnych imienia por. Weddigena złożyła w sierpniu oficjalną wizytę w Helsinkach, bardzo serdecznie podejmowana przez miejscowe władze i społeczeństwo

Nowobudujące się pancerniki po 35.000 ton będą uzbrojone w działą 356 mm, zamiast projektowanych 381 mm. W ten sposób uda się umieścić aż 12 dział zamiast 9. Poza tym w ciągu przyszłego roku ma być rozpoczęta budowa trzeciego pancernika tegoż typu.

Szwecja. Po ciągnących się od szeregu miesięcy dyskusjach i badaniach, parlament uchwalił nareszcie 5-letni program rozbudowy sił morskich. Przewiduje on budowę 3 krążowników po 8000 ton, uzbrojonych w 6 dział 203 mm, 3 monitorów obrony wybrzeża, 6 kontrotorpedowców, 3 okrętów podwodnych, 12 szybkobieżnych kutrów torpedowych i 1 okrętu bazy dla okrętów podwodnych. Koszty realizacji tego programu wyniosą mniej więcej 60 milionów zł. rocznie.

Gdy jednostki te zostaną wykończone, siły morskie będą podzielone na dwie eskadry, z których jedna będzie bazowała na Bałtyku, druga zaś u zachodnich wybrzeży.

Grecja. Na skutek nieumiejętnego i nieostrożnego obchodzenia się z miną, na stojącym w Pireusie torpedowcu „Jerase” nastąpił wybuch, skutkiem którego 6 marynarzy zostało zabitych i 8 rannych. Poza tym szkody materialne są bardzo poważne i będą wymagać dłuższego remontu.

W stoczni Kruppa rozpoczęto budowę dwóch małych okrętów podwodnych po 250/330 ton, u-

zbrojonych w 1 ciężki karabin maszynowy i 2 wyrzutnie torpedowe. Poza tym otwarty został przetarg na budowę dwóch większych okrętów podwodnych po 750 ton. Rozpoczęto również budowę 2 kontrtorpedowców, zamówionych w Anglii.

Rumunia. Król Karol nabył ostatnio w Anglii jacht „Luceafarul” (ex-„Nahlin”), jeden z najbardziej luksusowych jednostek, wykonanych w ostatnich latach. Jacht ten, wcielony w skład floty, zostanie oczywiście obsadzony przez personel marynarki wojennej.

Francja. W ciągu obecnie rozpoczętej podróży szkolnej, krążownik „Jeanne d'Arc” objedzie dookoła kuli ziemskiej drogą przez Morze Śródziemne, Kanał Suezki, Indie Brytyjskie, Indochiny, Australię, Melanezję, Tahiti, Kanał Panamski, Antyle. Wzorem lat ubiegłych, na okręcie tym zaokrętowani zostali trzej podporucznicy polskiej marynarki wojennej oraz grupa oficerów Iranu, którego flota tak wspaniale się rozbudowała w ciągu ostatnich kilku lat.

Program morski na rok 1938 przewiduje budowę 2 lotniskowców po 20.000 ton, 1 krążownika o 8.000 ton typu „De Grasse”, 3 kontrtorpedowców po 1850 ton, 3 torpedowców po 1000 ton, 1 okrętu podwodnego o 1300 ton i 4 po 650 ton, czyli ogółem 60.000 ton, z czego 90% wykonane zostaną przez stocznie prywatne

Po ukończeniu prób odbiorczy krążownik „Montcalm” rozpoczął kampanię czynną. Budowa jego oraz 3 innych tegoż typu rozpoczęta była w 1933 roku: 7600 ton, moc maszyn 88.000 K.M., 35 węzłów, 9 dział 152 mm i 8 dział przeciwlotniczych po 90 mm, 4 wyrzutnie torpedowe i 4 samoloty. Załoga tych okrętów składa się z 22 oficerów i 608 podoficerów i marynarzy.

Hiszpania. Na mocy powziętej przez rząd powstańczy decyzji, Palma na Majorce staje się główną bazą morską sił morskich gen. Franco. Siły te, składające się z 35 okrętów różnego typu, w czym dwa nowoczesne krążowniki, dowodzone są przez adm. Fernandez. Zasadniczym zadaniem tej floty będzie ścisła blokada rządowych wybrzeży od granicy francuskiej aż po Almerię. Koncentracja ta nastąpiła na skutek zfi-

kwidowania frontu północnego i chwilą zdobycia Gijon.

Z. S. R. R. Pertraktacje odnośnie budowy 3 pancerników ciągną się nadal. Wobec jednak sytuacji na Dalekim Wschodzie, rząd Stanów Zjednoczonych jest obecnie bardziej skory do udzielenia swej zgody na powyższą transakcję, opiewającą na kwotę około 240 milionów dolarów, z czego lwia część byłaby zapłacona nie gotówką, lecz produktami rolnymi i mineralnymi Rosji Sowieckiej. Uzbrojenie tych okrętów miałyby się składać z 9 dział 406 mm i 16 dział 127 mm. Równolegle do tego ciągną się pertraktacje odnośnie budowy jednego krążownika liniowego i 3 krążowników z działami 203.

Holandia. W budowie znajdują się następujące okręty: 1 lekki krążownik „Tromp” (3350 ton, 4 działa 152 mm i 6 wyrzutni torpedowych) na miejsce starego pancernika „Hertzog Hendrich”; 2 okręty podwodne po 950/1500 ton, 8 wyrzutni torpedowych i 30 min, szybkość 20/9 węzłów, przeznaczone do służby w Indiach: 4 okręty podwodne po 1200/1650 ton, również dla Indii (gotowe będą w 1939 r.); 8 traplerów po 525 ton, 15 węzłów (z których 7 jest na ukończeniu); 1 szkolny okręt artyleryjski „Van Kinsbergen” (2100 ton, 25 węzłów, 4 działa 120 mm) na miejsce starego

„Gelderland”; 1 minowiec a zarazem okręt szkolny o 1500 ton, 15 węzłach, uzbrojony w 2 działa 120 mm, 2 działka przeciwlotnicze, 100 min i 1 samolot

Anglia. W czasie pełnienia służby patrolowej na wodach hiszpańskich kontrtorpedowiec „Basilisk”, jeden z ostatnio przydzielonych na M. Śródziemne, został zaatakowany przez nieznanej narodowości okręt podwodny, który wystrzelił torpedę. Kontrtorpedowiec uniknął trafienia odpowiednim manewrem, po czym rzucił kilka bomb głębinowych, nie wiadomo jednak z jakim wynikiem. Na alarm przybyło kilka kontrtorpedowców i samolotów, jednak sprawcy napadu nie wykryto.

Tegoroczne manewry jesienne zostały zakrojone na znacznie mniejszą skalę. Wynikło to na skutek tego, że znaczna ilość okrętów zajęta jest wzdłuż wybrzeży hiszpańskich, a więc przebywa w warunkach niezmienne zbliżonych do wojennych.

Do powyższego nawiązać trzeba oficjalną wizytę, złożoną we Władystoku przez eskadrę w składzie jednego krążownika i kilku kontrtorpedowców.

W ciągu października spuszczo-
no na wodę znaczną ilość nowych
Znaleziono na: www.magemar.com.pl



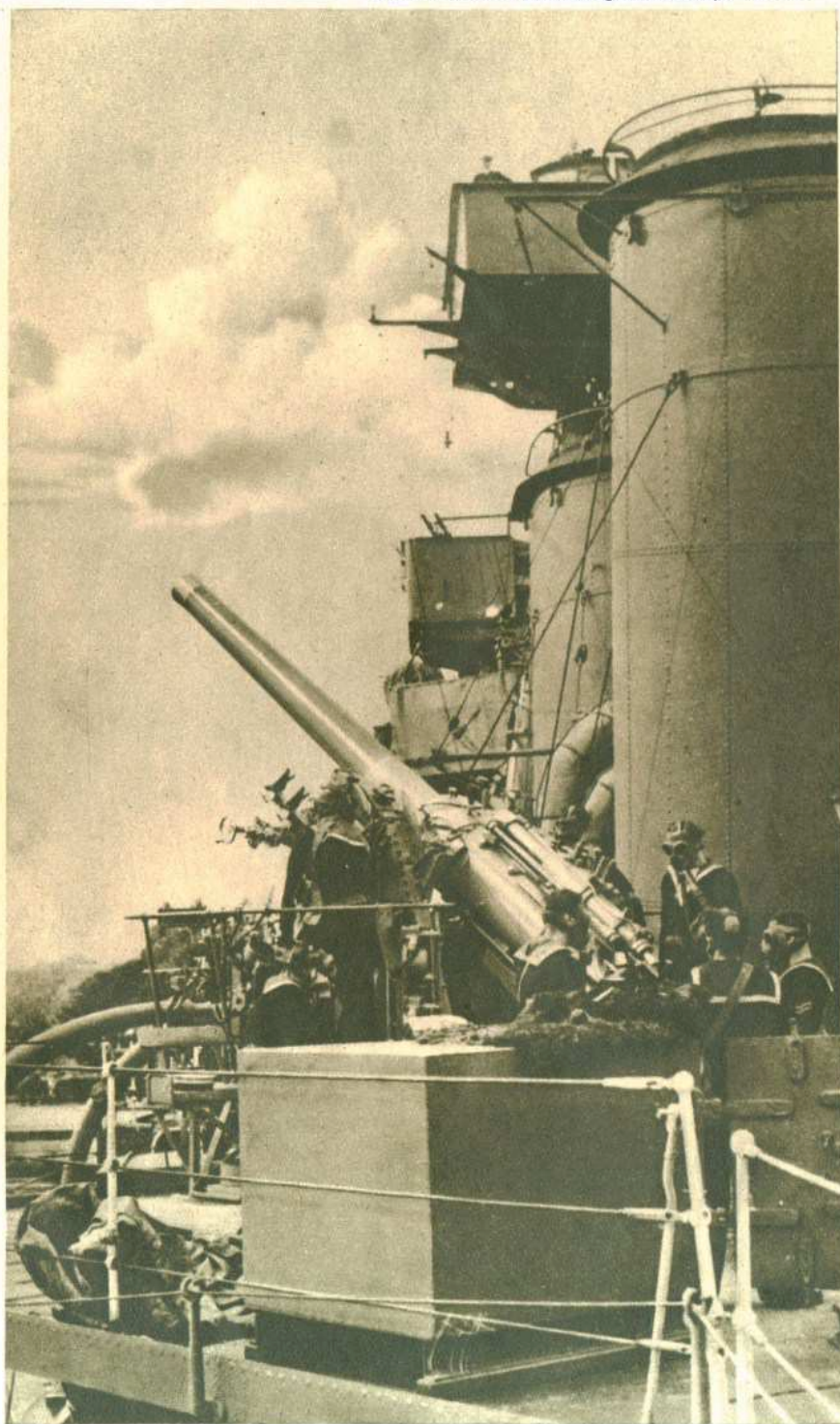
Kanonierka HMS „Indus” na Tamizie

okrętów: krążownik „Gloucester” ostatni z serii trzech rozpoczętych w 1935 r. (12 dział 152 mm, 8 dział 102 mm, 8 wyrzutni torpedowych i 4 samoloty); trawler „Seagull”, ostatni z serii 12 zamówionych w 1936 r. (875 ton, 17 węzłów, 2 działa 102 mm); kontrtorpedowce „Maori”, „Zulu” i „Mohawk” po 1800 ton; ropowiec „Broomdale”; okręty podwodne „Triton” i „Undine”; okręt-bazę dla okrętów podwodnych „Maidstone” który ma być oddany do służby już w

1938 r., 15.000 ton, 15 węzłów.

W październiku znajdowały się w budowie następujące okręty: 5 pancerników po 35.000 ton, 9 krążowników po 9 - 10.000 ton, 8 krążowników po 5.300 ton, 5 lotniskowców po 23.000 ton, 16 kontrtorpedowców po 1850 ton i 24 po 1650 ton, 11 okrętów podwodnych po 1100/1600 ton i 4 po 600/900 ton, oraz znaczna ilość okrętów pomocniczych, czyli ogółem około 700.000 ton, wartości około 6,5 miliarda złotych.

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



Cwiczenia przeciwlotnicze na angielskim krążowniku „Curlew”

Stany Zjednoczone A. P. Budującym się 2 pancernikom po 35.000 ton nadano nazwy „Washington” i „North Carolina”. Jak już potwierdzono urzędowo, będą one uzbrojone w 9 dział 406 mm oraz 10 dział 125 mm, to jest mniej więcej tak samo, jak poprzednia seria 3 okrętów typu „Maryland”, ukończonych po wielkiej wojnie. Okręty te będą wyposażone w wysokopiętne kotły typu „Velox” i będą miały znacznie większą szybkość aniżeli przypuszczano pierwotnie, gdyż około 30 węzłów.

W dniu 1-go listopada w budowie znajdowały się następujące okręty: 2 pancerniki po 35.000 ton, 3 lotniskowce po 23.500 ton, 1 krążownik z działami 203 mm i 9 z działami 152 mm, 16 okrętów podwodnych, 5 kontrtorpedowców po 1850 ton i 37 po 1500 ton, oraz około 60.000 ton okrętów pomocniczych.

W związku z nową organizacją siły morskie zostały podzielone na dwie grupy: Flotę Liniową, składającą się z 12 pancerników, 9 krążowników z działami 152, 2 lotniskowców i 42 kontrtorpedowców; Flotę Lekką składającą się z 16 krążowników z działami 203, eskadry szkolnej w składzie 3 pancerników typu „Wyoming”, 3 lotniskowców, 40 kontrtorpedowców i 17 grup lotniczych. Małe torpedowce, trawlerzy i wszystkie okręty podwodne wchodziły w skład sił obrony wybrzeża.

W Brooklynie spuszcza na wodę ostatni krążownik transzy 1934 r. „Honolulu”: 10.000 ton, 15 dział 152 mm i 8 dział 126 mm, 6 samolotów, szybkość około 33 węzłów. Poza tym przystąpiono do prób odbiorczych 7 kontrtorpedowców po 1500 ton, które mają być oddane do służby w pierwszej połowie przyszłego roku.

Japonia. Według wiadomości nieurzędowych, w budowie znajdują się następujące okręty: 2 pancerniki po 40—45.000 ton, uzbrojone w działa 406 mm, 2 lotniskowce po 10.000 ton, 3 lekkie krążowniki po 8500 ton, 14 kontrtorpedowców po 1450 ton, 12 torpedowców po 590 ton, i 5 okrętów podwodnych. Wkrótce jednak ma być rozpoczęta budowa 6 krążowników po 5—7.000 ton, 15 okrętów podwodnych oraz 2 — 3 lotniskowców.

Z ŻYCIA ORGANIZACJI

Pismem okólnym z dnia 3 listopada Zarządy Okręgów zostały powiadomione, że od dnia 1-go grudnia 1937 r. obowiązuje już nowy statut LMK, uchwalony przez VII Walny Zjazd Delegatów. Na podstawie nowego statutu zatwierdzenie nowopowstałych Oddziałów LMK od dnia 1 grudnia r. b. należy wyłącznie do Zarządów Okręgowych. Okręgi mają obowiązek każdy nowozałożony i zatwierdzony Oddział zgłosić dla celów ewidencyjnych do Zarządu Głównego z podaniem ilości członków poszczególnych kategorii, składu osobowego Zarządu oraz adresu siedziby Oddziału. Zgodnie z obowiązującym obecnie statutem kategorii członków „protektorów” nie należy stosować. Członkowie dawnej kategorii „protektorów” automatycznie przechodzą do kategorii „opiekunów”. Dawni członkowie kategorii „opiekunów” pozostają w tej samej grupie z zaznaczeniem daty pierwotnego ich zaszerogowania, t. j. z okresu do dnia 1 grudnia 1937 r.

W dniu 15 listopada b.r. nastąpiło ostateczne posiedzenie Sadu Konkursowego na projekt grobowca na Oksywiu ś. p. gen. Gustawa Orlicz - Dreszera. Sądowi Konkursowemu przewodniczył inż. arch. A. Dygat.

Jury konkursu rozpatrzyło 71 prac. W następnym numerze „Morza” zamieścimy szczegółowy wynik obrad jury oraz fotografie nagrodzonych projektów.

Analiza ruchu członków za okres 2 miesięcy, dokonana na podstawie sprawozdań miesięcznych, wykazuje na dzień 1.X r. b. poważne różnice w poszczególnych Okręgach w porównaniu ze stanem z dnia 1.VIII r. b.

Okręg	wzrost	spadek
	%	%
Stołeczny	0,79	—
Woj. Warszawskiego	14,52	—
Łódzki	3,59	—
Radomsko-Kielecki	17,37	—
Poznański	—	3,43
Pomorski	—	7,58
Krakowski	—	1,33
Lwowski	0,84	—
Stanisławowski	?	?
Tarnopolski	2,21	—
Wołyński	13,51	—
Poleski	2,62	—
Śląski	1,15	—

Nowogródzki	4,17	—
Białostocki	—	0,04
Wileński	—	10,27
Lubelski	0,33	—
Jarosławski	3,42	—
Wszystkie Okręgi	2,38	—

W pięciu Okręgach ilość członków zmniejszyła się, w pozostałych trzynastu — wzrosła. Nadmienić przytem wypada, że ilość członków całej organizacji wzrosła w tym okresie o 2,38%, co dotyczy członków wszystkich kategorii. Poniżej zamieszczone zestawienie obrazuje procentowy wzrost w poszczególnych kategoriach członków:

Członek, zwycz. przybyło:	0,01%
„ popierających „	6,18%
„ zespołowych „	3,69%
„ zesp. szkolnych „	0,98%

Liczby powyższe należy rozumieć jako porównanie stanu członków poszczególnych kategorii w dniach 1.VIII i 1.X r. b. Z zestawienia powyższego wynika, że najmniejszy wzrost wykazała kategoria członków zwyczajnych, płacących składki w wysokości 1 złotego, a więc stanowiących podstawy finansowe LMK. Należy przeto dołożyć wszelkich starań, aby Okręgi powiększyły przede wszystkim ilość członków zwyczajnych.

Zorganizowany przez Dział Organizacyjny - Propagandowy Zarządu Głównego centralny kurs dla instruktorów pracy ligowej w terenie, rozpoczęty dnia 4 listopada został zamknięty w

dnia 17 listopada. W kursie wzięło udział 35 słuchaczy.

Na kursie tym 29 prelegentów wygłosiło 33 wykłady, które w sumie zajęły 53 godziny. Po wykładach odbywały się dyskusje, które ogółem zajęły 10 godzin. Po skończeniu kursu, uczestnicy opracowali szereg zagadnień, w związku z wysłuchanymi wykładami.

Odbyty kurs można uważać za całkowicie udany.

Wyrazem tego jest opatrzone podpisami wszystkich słuchaczy — podziękowanie dla Zarządu Głównego Kierownictwa Kursów i pp. Wykładców. W podziękowaniu tym złożono jednocześnie hołd pionierowi myśli morskiej i kolonialnej w Polsce, ś. p. gen. dyw. Gustawowi Orlicz - Dreszerowi, przekazując na budowę Jego pomnika zebraną wśród siebie kwotę zł. 30.

Staraniem Zarządu Okręgu Pomorskiego odbył się w Toruniu w dniach 30.X — 1.XI b. r. pierwszy Okręgowy Kurs dla Działaczy LMK, w którym wzięło udział przeszło 100 uczestników, przy czym szczególnie licznie były reprezentowane oddziały wiejskie z powiatu starogardzkiego i kołocińskiego.

Celem kursu było zapoznanie słuchaczy z zagadnieniami marynarki handlowej, z kwestią możliwości kolonialnych oraz sprawami organizacyjno - propagandowymi.



Fragment defilady oddziałów LMK w New-Yorku podczas uroczystości przeniesienia prochów gen. Krzyżanowskiego

Zarząd Główny odbył następujące zjazdy i zebrania: 8 listopada odbyło się zebranie Zarządu Głównego, 9 listopada zebranie Zarządu Funduszu Obrony Morskiej, oraz bezpośrednio po skończonym kursie centralnym, dnia 12 listopada, Zjazd Kierowników Biur Okręgowych. Przewidywane są następujące zebrania: dnia 12.XII — Zjazd Prezesów Okręgowych, 13.XII — posiedzenie Prezydium Rady Głównej i Zarządu Głównego pod przewodnictwem protektora LMK, generała broni K. Sosnkowskiego, 5.XII — Zjazd Przewodniczących Sekcji Młodzieżowych, 19.XII — Zjazd Przewodniczących Sekcji Obrony Morskiej.

Wymienione zjazdy i zebrania mają na celu wszechstronne omówienie spraw organizacyjno-propagandowych i programowych z podkreśleniem potrzeby wypracowania doktryny kolonialnej dla LMK. — Na początku stycznia przewidywane jest zwołanie Rady Głównej dla przyjęcia sprawozdania finansowego i sprawozdania z działalności LMK oraz zatwierdzenia budżetu na r. 1938.

Prezes Belgijskiej Ligi Morskiej p. Paul Ramlot, wygłosił w dniu 25 października b. r. w Izbie Przemysłowo-Handlowej w Warszawie, odczyt o belgijskiej marynarce handlowej.

W zwięzłym lecz bardzo gruntownie uzasadnionym odczycie p. prezes Ramlot przedstawił rozwój marynarki belgijskiej. Prelegent podkreślił zwłaszcza rolę, jaką państwo odegrało, poczynając od roku 1934, w odrodzeniu marynarki narodowej belgijskiej. Zasluguje na uwagę fakt ścisłej współpracy sfer rządowych i parlamentarnych ze związkiem armatorów belgijskich i Ligue Maritime Belge w pracy nad dźwignieniem upadającego przemysłu okrętowego i zmniejszającego się tonażu belgijskiej floty handlowej. Przy pomocy odpowiednich kredytów już w r. 1936 cały tonaż miał zatrudnienie, a stocznie belgijskie zatrudniły bezpośrednio i pośrednio 10 tysięcy robotników. Tonaż został odnowiony i zmodernizowany. Również wielką uwagę zwrócono na dalszą rozbudowę portów i pomoc dla rybołówstwa morskiego.

to poważny wzrost w porównaniu do lat ubiegłych, kiedy w tym samym okresie obroty Gdyni i Gdańska wyniosły 9.201.000 ton w r. 1935, a 9.504.000 ton w r. 1936. Charakterystycznym jest przytem, że wywóz przez porty obniżył się w roku bieżącym. Silnie natomiast wzrósł przywóz, bo z 1.293 tys. ton w r. 1935 i 1.587 tys. ton w r. 1936 do 2.331 tys. ton w roku bieżącym.

Udział portów polskich w ogólnym handlu zagranicznym według obliczeń „Polski Gospodarczej” wyniósł w pierwszych trzech kwartałach r. b. pod względem wagi 78.7%, pod względem wartości obrotów — 67%. Jest to znów znaczny wzrost w porównaniu z latami ubiegłymi, gdyż w r. 1935 udział w wadze wynosił 73.8%, w wartości 63.4%; w r. 1936 w wadze 77.1%, w wartości — 63.4%.

* * *

W przeciągu miesiąca października r. b. ogólny ruch pasażerów w porcie gdyńskim wyniósł 3.124 osób, z czego przyjechało 402 osoby, a wyjechało 2.722 osoby. Największy ruch zanotowano w tym czasie między Gdynią a Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej, Ameryką Południową i Anglią.

* * *

Polskie połowy morskie w październiku r. b. wyniosły ogółem 2.470.745 kg o wartości złotych 1.021.414.—, co w stosunku do października r. ub. stanowi wzrost ilościowy o 700.000 kg, wartościowy o zł 100.000.—. I znów główną pozycję stanowiły połowy na Morzu Północnym, które dały 1.955.835 kg o wartości złotych 782.269.—, czyli 80 proc. ogólnych połowów morskich. Połowy przybieżne dały 284.450 kg o wartości zł. 176.484.—, połowy na Głębi Gdańskiej — 230.510 kg o wartości zł 62.661.—. Duże zaniepokojenie w przemyśle wędzarniczym wybrzeża wywołują niepomyślnie połowy szprotów, tym bardziej, że nie powiodły się próby sprowadzania surowca zza granicy.

* * *

Rozbudowa portu gdyńskiego posuwa się ciągle naprzód. W dniach 21 i 22 października r. b. ustawione zostały na Nabrzeżu Francuskim dwa nowe dźwigi półportalowe o nośności 3 ton z wysięgiem do 20 m. Dźwigi te konstrukcją swoją różnią się od innych tym, że portale ich są znacznie szersze i posiadają wewnątrz specjalne przejście dla pa-

K R O N I K A

Obroty towarowe portu gdyńskiego za miesiąc październik rb. wyniosły ogółem 813.009.9 ton. Z cyfry tej na obroty zamorskie przypada 802.565.8 ton, z czego na przywóz 115.428.6 ton, a na wywóz 687.137.2 ton. Obroty przybrzeżne łącznie z w. m. Gdańskiem wyniosły 1.483 ton, a obroty drogą wodną z wnętrzem kraju — 8.961.1 ton.

W porównaniu do miesiąca września r. b. obroty portu gdyń-

skiego zwiększyły się o 57 i pół tysiąca ton; w porównaniu do października r. ub. ogólne obroty towarowe za miesiąc sprawozdawczy wzrosły o około 11%.

Za okres pierwszych dziesięciu miesięcy r. b. ogólne obroty towarowe portu gdyńskiego wyniosły 7.546.602.7 ton, w pierwszych zaś trzech kwartałach r. b. obroty zamorskie obu portów polskiego obszaru celnego wyniosły ogółem 11.876.000 ton. Oznacza



Podczas defilady w dniu 11 listopada, grupa Kaszubów na kutrze rybackim zatrzymała się przed Marsz. Śmigłym-Rydzem i odśpiewała hymn kaszubski

sażerów. Na końcu przejścia znajduje się ruchomy mostek, który będzie łączył w razie potrzeby dźwig ze statkiem. Projekt obu dźwigów został opracowany przez Wydział Techniczny Urzędu Morskiego, a wykonany przez Zakłady Ostrowieckie.

Rozpoczął już również pracę elewator zbożowy, który dzięki dużej swej pojemności, sięgającej 10.000 ton, a także wyposażeniu w najbardziej nowoczesne urządzenia składowe, sortownicze i transportowe, będzie mógł sprawnie obsługiwać wywóz zboża krajowego i tranzytowego. W roku bieżącym w związku z zakazami wywozowymi, dotyczącymi zbóż głównych, przez elewator przejdą przede wszystkim poważne ilości eksportu owsa, jęczmienia i roślin strączkowych, jak również import soi z Holandii, a być może i kawy. Jednocześnie czynione są starania o uzyskanie ładunków tranzytowych kukurydzy z Rumunii i pszenicy z Czechosłowacji i Węgier.

Obok tych inwestycji portowych również i miasto Gdynia rozszerza swoje urządzenia gospodarcze. W dniu 11 listopada r. b. zostały poświęcone i oddane do użytku 3 nowe wielkie hale targowe, a mianowicie: hala dla jarzyn, owoców i nabiału, o powierzchni 2.845 m. kwadr., hala mięsna o powierzchni 1.923 m kwadr. oraz hala rybna o powierzchni 577 m kwadr.

Rozbudowa Gdyni nie może

jednak podążyć za wzrastającymi stale potrzebami handlu zagranicznego Polski, który coraz bardziej nastawia się na drogę morską. Toteż i drugi port polskiego obszaru celnego Gdańsk, którego obroty zwłaszcza w imporcie znacznie wzrosły, musiał przystąpić do opracowania planu rozbudowy. Plan ten przewiduje inwestycje w wysokości 7.600.000 guldenów, a mianowicie rozszerzenia basenu w Wisłoujściu, wykończenie budowy śpichrza zbożowego przy dworcu nadwiślańskim o pojemności 10.000 ton, pogłębienie portu i udoskonalenie jego urządzeń.

W końcu października odbyło się w Scheveningen uroczyste poświęcenie Domu Marynarza Polskiego, który jest przeznaczony na schronisko dla rybaków polskich, zatrudnionych przez towarzystwo połowów dalekomorskich.

W przeciągu miesiąca października r. b. weszło do portu gdyńskiego i wyszło zeń na morze ogółem 1.119 statków o łącznej pojemności 992.347 t. r. n. z czego weszło 563 statki o pojemności 496.935 t. r. n., a wyszło 556 statków o pojemności 495.412 t. r. n.

Na pierwsze miejsce wysunęła się tym razem bandera polska (123 statki — 144.526 t. r. n.), za którą dopiero szła bandera szwedzka (235 statków — 141.854

t. r. n.); dalej szły Niemcy (143 statki — 101.105 t. r. n.), Norwegia (139 statków — 94.386 t. r. n.), Finlandia (71 statków — 87.755 t. r. n.), Anglia, Włochy, Dania, Łotwa, Stany Zjednoczone A. P., Estonia, Holandia, Grecja, w. m. Gdańsk, Francja, Islandia, Jugosławia, Panama, wreszcie Węgry (2 statki — 692 t. r. n.).

Średni tonaż statku, zawijającego do portu, wynosił 882,7 ton, średnia ilość statków, przebywających jednocześnie w porcie 45, średni postój statku 49,2 godz.

Dzień 11 listopada zaznaczył się w porcie gdyńskim rekordowym ładunkiem bawełny. W dniu tym zawinął do portu statek norweski m/s „Taronga”, przywożąc ze Stanów Zjednoczonych A. P. rekordowy ładunek bawełny 4.750,1 ton czyli około 20 tysięcy bel. Ładunek ten obejmuje prócz tranzytu do Czechosłowacji i państw bałtyckich również znaczną partię bawełny dla Portugalii.

Prywatna Szkoła Męska Żeglugi Rzecznej w Warszawie podaje do wiadomości, że zgłoszenia pisemne o przyjęcie do Szkoły na wydział nawigacyjny lub mechaniczny należy składać najpóźniej do dnia 15 grudnia 1937 r. pod adresem Kancelarii Szkoły w Warszawie przy ul. Mazowieckiej nr 12, która jest czynna w poniedziałki, środy i piątki w godzinach od 18.30 do 20-ej.

Wydawnictwa Ligi Morskiej i Kolonialnej

Czeczott R. „Wojna morska na Bałtyku 1914—1918”	Zł 5.—
Hubert W. „Historia wojen morskich”	„ 5.—
„ „Wpływ bitew morskich”	„ 2.50
Hilchen F. dr „Porty morskie” (urządzenia przeładunkowe, organizacja itd.)	„ 7.50
Janikowski L. „W dżunglach Afryki” (wspomnienia z polskiej wyprawy do Kamerunu)	„ 5.—
Karczewska Wanda: „Ludzie spod żagli” (powieść, która otrzymała nagr. liter. im. Szareckiego)	„ 6.—
Kosko St.: „Przez trzy oceany” (reportaż z podróży naokoło świata na żaglowcu „Dar Pomorza”)	„ 4.—
Dreszer Z. inż.: „Pionierski rejs” (Dzień podróży handl. na s/s „Poznań” do portów Afryki Zach.)	„ 5.50
Wańkowicz M.: „Na tropach Smętka”	„ 9.80
Bartlewicz J. „Broń podwodna”	„ 0.50
Kowalenko Wł. dr.: „Jak urządzać wystawy szkolne w dziedzinie spraw morskich i kolonialnych	„ 0.50
Laskowski H.: „Artyleria morska”	„ 0.50
Mystkowski inż.: „Budowa modeli okrętów wojennych”	„ 0.80
Potyrała: „Przemysł okrętowy”	„ 0.45
Sawiczewski J.: „Łodzie podwodne”	„ 0.50
Sowiński M.: „Najprostsze modele żaglowe”	„ 2.50
Żukowski O.: „Zarys rozwoju okrętów torpedowych”	„ 0.50
Nowowiejski F.: „Śpiewnik morski” (partytura — 34 pieśni)	„ 15.—
„ „ „ (głosy: tenor-bas — 34 pieśni)	„ 1.50
„ „ „ „ sopran-alt „	„ 1.50

ZAMÓWIENIA NALEŻY KIEROWAĆ DO BIURA ZARZĄDU GŁÓWNEGO LMK, WARSZAWA, WIDOK 10 LUB DO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO „BIBLIOTEKA POLSKA”, WARSZAWA, UL. NOWY ŚWIAT 23/25.

SPIS RZECZY W ROCZNIKU „MORZA” 1937

I. SPRAWY MORSKIE

A. Marynarka wojenna, polityka wojenno-morska

- B.: Zadania floty wojennej w czasie wojny — Nr. 8.
Czeczott R.: Singapore — Nr. 5.
Czeczott R.: Ściągacze — Nr. 11.
Czeczott R.: Śródziemnomorska polityka wielkich mocarstw — Nr. 10.
Domaniewski Zb.: Zagadnienia Pacyfiku — Nr. 12.
Ginsbert J., inż.: Okręt Rzeczypospolitej Polskiej „Grom” — Nr. 6.
Ginsbert J., inż.: Polska jest wyspa — Nr. 2.
Ginsbert, J., inż.: Wodowanie O. R. P. „Gryf” — Nr. 1.
J. G.: Italia jako mocarstwo morskie — Nr. 9.
Leszczyc Wł.: Sprawa Marynarki Wojennej w parlamencie — Nr. 3.
Lewandowski J.: Przemysł przyszłości — Nr. 7.
Mora K.: Więcej ofensywy — Nr. 7.
Potyrała Al.: Przemysł a potrzeby morskie — Nr. 5.
R. C.: Na wodach Hiszpanii — Nr. 3.
Wachowiak A.: O program morski — Nr. 7.
Z życia marynarki wojennej — N-ry od 1 do 12.
Zukowski O., kpt. mar.: Łódź podwodna wczoraj a dziś — Nr. 9.
Zukowski O.: Sytuacja na Baltyku w roku 1920 a dziś — Nr. 7.

B. Marynarka handlowa

- Korolkiewicz J.: Linie regularne portu Gdyni — Nr. 9.
Korolkiewicz J.: Nowy tonaż — Nr. 11.
Korolkiewicz J.: O rozbudowę floty handlowej — Nr. 6.
Korolkiewicz J.: Polska flota handlowa w roku 1936 — Nr. 1.
Korolkiewicz J.: Potrzeba rozbudowy floty handlowej — Nr. 3.
Marynarka handlowa Imperium Brytyjskiego 1936 — Nr. 4.
Ocioszyński T.: Ludzie morza i ich praca — Nr. 4.
Ocioszyński T.: Zagadnienia marynarki handlowej — Nr. 11.

C. Rybołówstwo

- Mioduszeński St.: Daleki połów — Nr. 2.
Zydlar M.: Rybacy na morze... — Nr. 9.

D. Ogólne

- Czeczot R.: Morskie korzyści przymierza z Rumunią — Nr. 8.
J. D.: 10 Lutego — Nr. 2.
Kronika — N-ry od 1 do 12.
Kronika gospodarcza — patrz: Kronika.
Piotrowicz R.: Zainteresowania Polski cieśninami czarnomorskimi — Nr. 2.
Po „Tygodniu Morza” — Nr. 8.
Rokrocznie naród polski święci „Dzień Morza”... (Przemówienie Pana Prezydenta R. P., wygłoszone przez radio w dn. 29 czerwca) — Nr. 8.
„Tydzień Morza” (odezwa Głównego Komitetu „Tygodnia Morza”) — Nr. 7.

II. ŻEGLUGA ŚRÓDLĄDOWA

- Baltyk — Morze Czarne — Nr. 8.
Konopka A., inż.: Magistrała wodna Śląsk — Baltyk — Nr. 9.
Krzywiec B., mgr.: Otwarcie portu handlowego w Płocku — Nr. 11.
Piotrowicz R.: Rzeki Niemiec i Kanał Kiłski — Nr. 1.
Wykowski M.: Bandera polska na Dźwinie — Nr. 9.

III. GDYNIA, GDAŃSK, POMORZE, DOSTĘP DO MORZA

- Apel w sprawie Gimnazjum Polskiego w Gdańsku — Nr. 9.
Bogacz F.: Gdynia i Gdańsk a bilans płatniczy — Nr. 4.
B. S.: Gdańsk i Liga Narodów — Nr. 3.
B. S.: Gdańsk na rozdwoju — Nr. 2.
B. S.: Gdańsk przypomina — Nr. 10.
B. S.: Gdynia i Pomorze — Nr. 4.
Gdynieus: Podciągnąć wzwyż — Nr. 6.
K. Z.: Żywiół polski nad ujściem Wisły — Nr. 2.
Polkowski B.: Sylwetka przyszłej Gdyni — Nr. 10.
Rauschnig Herman, dr.: O stosunek Gdańska do Polski — Nr. 4.
Sawicki J.: O Polakach w Gdańsku — Nr. 11.
S. Z.: Rok 1937 w Gdańsku — Nr. 12.
Znów Gdańsk... — Nr. 9.

IV. HANDEL ZAMORSKI

- Korolkiewicz J.: „Navigare necesse est...” — Nr. 8.
Korolkiewicz J.: Z Kongresu Kupiectwa — Nr. 12.
Kulikowski Cz., dr.: O ożywienie eksportu z Polski do Brazylii — Nr. 3.
Z. Ł.: O zwiększenie obrotów handlowych z Argentyną — Nr. 6.

V. ZAGADNIENIA KOLONIALNE

- A. Problem surowców i kolonialny, kolonie i kraje zamorskie
Bod St.: Sprawy kolonialne — patrz: Sprawy kolonialne.
Debski J.: O wolny dostęp do surowców — Nr. 10.
Domaniewski Zb.: Mocarstwa a Chiny — Nr. 11.
Gasiński W.: Świat zabity deskami — Nr. 2.
Hugon M.: Francja zamorska na wystawie w Paryżu — Nr. 10.
Jakimiak Z., inżynier agronomii kolonialnej: Szkolenie rolników kolonialnych — Nr. 12.
Jeziorański K.: Ekspansja kolonialna Niemiec — Nr. 8.
Jeziorański K.: O wychowanie pionierów kolonialnych — Nr. 5.
Jeziorański K.: Polskie tradycje kolonialne — Nr. 9.
Jeziorański K.: Sprawa Maroka — Nr. 12.
Jeziorański K.: Surowce i koniunktura — Nr. 3.
Kaczmarek E.: Wystawa kolonialna we Wrocławiu — Nr. 2.
K. J.: Rezygnacja czy walka o surowce? — Nr. 1.
Komisja surowcowa — Nr. 4.
Kronika kolonialna — patrz: Sprawy kolonialne.
Kulikowski E., dr.: Kauczuk, Anglisy — Ford i Polacy — Nr. 5.
K. Z.: Niemiecka penetracja w Afryce — Nr. 3.
Piotrowicz R.: Budowa Imperium kolonialnego — Nr. 8.
Piotrowicz R.: Italska kolonizacja w Libii — Nr. 5.
Piotrowicz R.: Italska polityka tubylcza w Libii — Nr. 7.
Piotrowicz R.: Kolonizacyjne doświadczenia Italii — Nr. 6.
Piotrowicz R.: Mandat Palestyny — Nr. 9.
Piotrowicz R.: Możliwości polskich żądań kolonialnych — Nr. 4.
Polska musi mieć kolonie (wywiad z gen. St. Kwaśniewskim) — Nr. 2.
Przegląd kolonialny — patrz: Sprawy kolonialne.
Rosinski W., dr.: O program kolonialny — Nr. 11.
R. R.: Przemiany w krajach tropikalnych — Nr. 7.
R. T. P.: Iskanderun — Nr. 3.
Sprawy kolonialne — N-ry od 1 do 12.
Studium Migracyjno-Kolonialne — Nr. 11.
Sukiennicki H.: Dążenia kolonialne Trzeciej Rzeszy — Nr. 3.
Symonowicz K.: Problem kolonialny a pokój świata — Nr. 12.
Symonowicz K.: Uchwały, które przecież obowiązują — Nr. 11.
Walka o kolonie — Nr. 12.

B. Emigracja

- J. L.: Polska — Stany Zjednoczone — Nr. 11.
K. G. Z.: Americana — N-ry od 2 do 4.
Leszczyc Wł.: Na „Dzień Polaka zza Granicą” — Nr. 1.

- Modrak P., inż.: Badacz Australii — Nr. 4.
Oszelda Wł.: „Tak” i „nie” brazylijskiej polityki imigracyjnej — Nr. 4.
Pankiewicz M.: Emigracja polska w 1936 roku — Nr. 5.
Pankiewicz M.: Osadnictwo polskie w Misiones — Nr. 12.
Z Ameryki Południowej — Nr. 1.

VI. PODRÓŻNICTWO, TURYSTYKA, ŻEGLARSTWO, WCZASY, KRAJOZNAWSTWO

- J.: Obozy letnie LMK — Nr. 8.
J. K.: Morze źródłem radości i siły — Nr. 4.
J. L.: Kraina fiordów — Nr. 10.
Kozan J.: Na „Zawiszy Czarnym” — Nr. 10.
Krzywiec B., mgr.: Radość i praca — Nr. 9.
Lepecki M. B., mjr.: Stolica Madagaskaru — Nr. 12.
Maciejewicz K., kpt., komendant „Daru Pomorza”: Przez Cape Hoorn — Nr. 7.
Pankiewicz M., członek Zarządu Gł. LMK: O masową turystykę nad morze — Nr. 10.
Podolski St.: Wrażenia z podróży po Liberii — Nr. 10.
Siedlecki St., uczestnik polskich wypraw podbiegunowych: Z krainy lodu — Nr. 3.
Szczepański J. A.: Na „Kościszce” z polską wyprawą w Andy — Nr. 1.
Wańkowicz M.: Człowiek za burtą — Nr. 12.
W. K.: Lato na wodzie i w słońcu — Nr. 7.

VII. BELETRYSTYKA, SZKICE KRYTYCZNO-LITERACKIE

- Brzeska W.: Świanta Barbara (nowela) — Nr. 7.
Cwałina L.: Bunt na „Orli” (nowela) — Nr. 6.
Cwałina L.: Conrad — wychodźca — Nr. 11.
Cwałina L.: Pasierb morza (nowela) — Nr. 8.
Cwałina L.: Spotkanie (nowela) — Nr. 12.
Cwałina L.: Wigilia (nowela) — Nr. 1.
Cwałina L.: Załoga (nowela) — Nr. 5.
Jasiński Zb.: Gdańsk w literaturze — Nr. 10.
Jasiński Zb.: Morze w literaturze pięknej — Nr. 7.
Jesionowski A.: Gdynia w pieśni — Nr. 11.
Jesionowski A.: Gdynia w powieści — Nr. 12.
Stępowski J.: Prawda i legenda o Żeromskim na wybrzeżu — Nr. 9.
Znaniecki J.: Urzekający mit — Nr. 9.

VIII. LIGA MORSKA I KOLONIALNA

- Budzet — program — Nr. 3.
Debski J.: Najbliższe zadania — Nr. 1.
Do wszystkich członków LMK — Nr. 3.
Ignaszewski J.: Zarys rozwoju Ligi Morskiej i Kolonialnej na terenie Zagłębia Węgl. — Nr. 2.
Jar. St.: Zarys działalności Okręgu Lubelskiego LMK — Nr. 3.
J. L.: Pomnożyć nasze szeregi — Nr. 3.
J. L.: VII Walny Zjazd Delegatów LMK — Nr. 6.
Konarski M.: Zarys rozwoju LMK na terenie m. st. Warszawy — Nr. 4.
Kwaśniewski St., gen., prezes Zarządu Gł. LMK: Morze i kolonie (przemówienie radiowe w dn. 28 czerwca z okazji „Tygodnia Morza”) — Nr. 8.
Kwaśniewski St., gen., p. o. prezesa Zarządu Głównego LMK: O dalszy program — Nr. 5.
Kwaśniewski St., gen., p. o. prezesa Za-

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



DO DNIA 1 PAŹDZIERNIKA 1937 R. ZEBRANO
NA FUNDUSZ OBRONY MORSKIEJ W GOTÓWCE
I PAPIERACH WARTOŚCIOWYCH 5.971.387.42

F O M

ządu Głównego LMK: VII Walny Zjazd Delegatów Ligi Morskiej i Kolonialnej... — Nr. 5.
 Kozuchowski J., prezes Rady Głównej LMK: Polska na morzu (przemówienie na VII Walnym Zejeździe LMK) — Nr. 6.
 Kronika miesięczna patrz: Z życia Organizacji.
 Kwiatkowski E., inż., wicepremier: „...Morze pracy i morze zadań” (przemówienie na VII Walnym Zejeździe LMK) — Nr. 6.
 Michalski L., dr., wiceprezes Zarządu Okręgu Radomsko-Kieleckiego LMK: Zarębs organizacja LMK na terenie Okręgu Rad.-Kiel. — Nr. 1.
 Pawłowski St., prof.: Instytut Morski i Kolonialny — Nr. 2.
 Po „Dniach Kolonialnych” — Nr. 1.
 Po Walnym Zejeździe — Nr. 6.
 Rozwój LMK w latach 1935—1937 — Nr. 5.
 II Zjazd Ligi Morskiej w Ameryce — Nr. 10.
 Z życia Organizacji — N-ry od 1 do 4 i od 7 do 12.
 IX. PUBLIKACJE, DOTYCZĄCE Ś. P. GEN. DYW. GUSTAWA ORCICZ-DRESZERA
 Bogustawski A.: Ballada o orlich skrzydłach — Nr. 2.
 Echa bolesnej rocznicy — Nr. 9.
 Orcicz-Dreszer G., gen. dyw. — W poszukiwaniu idei — Nr. 1.
 Program i warunki konkursu powszechnego na projekt grobowca ku czci generała Gustawa Orcicz-Dreszera na Oksywie w Gdyni — Nr. 8.
 Wiele było postaci w naszej historii... — Nr. 2.

X. Z ZAŁOBNEJ KARTY
 Ś. p. Juliusz Dreszer — Nr. 6.
 Ś. p. Stanisław Kruszyński — Nr. 8.
 Ś. p. Maurycy Rondet-Saint — Nr. 9.
 XI. Z RUCHU WYDAWNICZEGO
 Brzozowski M.: „Obroty towarowe niemieckich portów morskich” — Nr. 11.
 Buczek K.: „Geograficzno - historyczne podstawy Prus Wschodnich” — N-ry 4 i 10.
 Carey R.: „Kapitan Krystyna” — Nr. 4.
 Dzimicz B.: „Samotny książownik” (rec. z. j.) — Nr. 1.
 Fajans R.: „Na frontach Abisynii” (rec. z. j.) — Nr. 1.
 Fischer A.: „Etnografia dawnych Prusów” — Nr. 10.
 Galon R.: „Dolina dolnej Wisły” — Nr. 4.
 Giżycki J.: „Między morzem a pustynią” (rec. z. j.) — Nr. 1.
 Jasiński Zb.: „Morze w poezji polskiej” (rec. z. j.) — Nr. 6.
 Johannsen G. Kurt, dr., — Kraft Heinrich: „Das Kolonialproblem Deutschlands” (rec.: Langnerowa L.) — Nr. 1.
 Karczewska W.: „Ludzie spod żagli” (rec.: St. Hłasko) — Nr. 6.
 Kilarski J.: Jesteśmy w Gdańsku (rec.: Stępiński J.) — Nr. 8.
 Koczy L.: „Polityka bałtycka Zakonu Krzyżackiego” — Nr. 4.
 Lepecki M. B., mjr.: „W cieniu Kordyliarów” (rec.: w. k.) — Nr. 3.
 Olechowski G.: „Na wielką wyprawę” — Nr. 10.
 Pawłowicz B.: „Kolorowe serce” (rec.: z. j.) — Nr. 3.
 Pawłowicz B.: „W słońcu dalekiego Po-

łudnia” (rec.: w. k.) — Nr. 3.
 Potyrała A., inż.: „Przemysł okrętowy” (rec.: z. j.) — Nr. 11.
 „Revue de la Ligue Maritime Belge” — Nr. 2.
 Romer E.: „Polityczny atlas kieszonkowy” (rec.: z. j.) — Nr. 2.
 Sowiński M.: „Najprostsze modele żaglowe” (rec.: z. j.) — Nr. 2.
 Strasburger H., dr.: „Sprawa Gdańska” (rec.: Domaniewski Z.) — Nr. 4.
 Taube K.: „Figle diablika błot pińskich” (rec.: z. j.) — Nr. 2.
 Warchałowski K.: „Na krokodyliem szlaku” (rec.: z. j.) — Nr. 2.
 Zadrozny St.: „Na gdyńskim szlaku” (rec.: S. J.) — Nr. 6.
 Zalewski St.: „Abecadło gdańskie” — Nr. 10.
 Z ruchu wydawniczego — N-ry od 1 do 4, 6, 10 i 11.
 Żuławski J.: „Wyprawa o zmierzchu” (rec.: z. j.) — Nr. 1.

XII. RÓŻNE.
 Rada i Zarząd Główny LMK oraz Redakcja „Morza” zasyłają w dniu święta Noworocznego serdeczne życzenia owocnej pracy marynarskiej... — Nr. 1.
 R. C.: Zima na Bałtyku — Nr. 4.
 Rozrywki umysłowe — N-ry od 1 do 4 i od 6 do 12.
 Stępiński J.: U fundamentów Bazyliki Morskiej — Nr. 11.
 Tydzień zbliżenia polsko-duńskiego — Nr. 9.
 Woźnicki J., inż.: Ile węzłów, tyle mil na godzinę — Nr. 1.

ŻEGLUGA POLSKA S. A.
 ORAZ
POLSKO-BRYTYJSKIE TOW. OKRĘTOWE S. A.
 GDYNIA, Waszyngtona 15
 Telegramy: POLMORK i POLBRIT — Telefony: 2991 i 3991

utrzymuje regularną komunikację okrętową towarowo-pasażerską z Gdyni/Gdańska do portów

Malmö	Hamburg	Göteborg	Rotterdam	Norrköping	Antwerpia	Stockholm
Tallinn	Riga	Kotka	Liepaja	Viborg	Klaipeda	Helsinki
Abo	Uleaborg	Raumo	Ixpila	Mantyluoto	Kemi	Wasa
	London	Hiszpanii	Hull	Sycylii	Le Havre	
			Lewantu			

Znaleziono na: www.magemar.com.pl 

WŁASNE MAGAZYNY SKŁADOWE W GDYNI

SPÓŁKA AKCYJNA DO EKSPLOATACJI PAŃSTWOWEGO MONOPOLU ZAPALCZANEGO w POLSCE

POLECA: zapalniczki białe norm. — 48 szt. w pud., gr. 8 w det.
 zapalniczki popularne — 30 „ „ „ „ 5 „ „
 zapalniczki kresowe — 24 „ „ „ „ 4 „ „
 oraz zapalniczki „sztormowe” (nie gasnące na wietrze)
 i zapalniczki bridge’owe.

BIURO
 PRZEMYSŁOWO - HANDLOWE
JAN HERSE i S-ka
 Spółka z ogr. odp.
 w WARSZAWIE
 Poparła LMK

Browning „PIORUN”

ściśle wg. rysunku z bezpiecznikiem! Sensacyjna nowość 1937! Fason belgijski! Typ 6-cio mm. Repetuje się przed każdym strzałem i automatycznie wyrzuca łuskę! Huk ogłuszający! Idealna obrona przed napadem! Wykonanie luksusowe: lufa pięknie oksydowana, rękojeści kryte lśniącym bakelitem! Waga 250 gr., dług. 10 cm. szer. 7 cm. — Gwarancja fabryczna na 5 lat. Cena tylko zł. 6.95. 2 szt. 13.50. Setka naboju syst. „Flabert” zł. 3.65. Płaci się przy odbiorze. Adres: Przedst. „PERFECTWATCH”, Wydz. M/2 WARSZAWA I, ul. Marjańska 11-1

U w a g a: Wystrzegajcie się taniej tandety, polecanej przez pokątnych sprzedawców! Żądajcie wszędzie w sklepach tylko automatów „PIORUN” z bezpiecznikiem!



POLSKIE ZAKŁADY
PHILIPS
 Spółka Akcyjna
 w WARSZAWIE
 ul. Karolkowa Nr 36 — 44

Rozrywki umysłowe

ZADANIA

31. REBUS



Z podanego rebusu należy odczytać siedmiowyrazowe zdanie. Jest to projekt dyplomu dla zasłużonych działaczy LMK.

32. SZARADA KASZUBSKA

(przysłowie rybaków kaszubskich)
Jarnować! wangorzy już ta nie bandziemy,
Bo przekłeta wieje dzisiaj pierwsza-druga.
Na kraj? ściągnąć żaki³), po czym

odpocznemy
Może jutro minie ta powietrzna struga.

Rychtyk! Dwa - trzy morza, kiedy wiatr

od kraju

Tylko bańkę chycisz, a toć buksów⁴)

szkoda.

Obzorguj⁵) se miejsce, byś siedział jak

w raju

Mjewy się rzucają, nie bandzie pogoda.

Jutro cma⁶) się zmieni, to fang⁷) trzeci-

szósty

Bandzie pewnie lepszy, jak Bóg dopomoże

To i fokę chycisz, a to kansek tłusty,

Same ci należą do zaków wangorze.

Wkrótce się zakończy rybacka sześć-

siódma

Bretlindzi, fladerki—białka⁸) nam zgotuje,

Wangorza solnego, kuch⁹) i bulwa¹⁰)

cuda.

Na nic człek nie czwór-raz tak się

dobrze czuje.

A choć czasem spadną, jakle pąte - trzeci,

Wszystko przecie Bóg dał—rybak nie narzeka

Tak tat'k żyje, dziad żył przez całe stulecia

Wie że po dniach trości¹¹) i całość go czeka.

Jo! Mój tat'k pamięta niemców panowanie,

Krzywdy, które przeżył — w zielenicu¹²)

chowa

1) wybierać z zaków, 2) ład, 3) rodzaj

więcierza, 4) spodni, 5) upatrz, 6) ostatnia

kwadra księżycy, 7) połów, 8) kobieta,

9) bułka drożdżowa, 10) ziemniaki, 11) po-

cięchy, 12) głębia morską.

Dzis nad kaszubami objęła czuwanie
Polska, no i Świanta Panna Wangorzowa.
„Mary” W-wa

33. WIRÓWKA RYSUNKOWA (Nowy typ zadania)

Do podanej na końcu działu figury należy wpisać dokoła liczb (wirowo, w kierunku „zegarowym”) 5 ośmiołiterowych wyrazów o znaczeniach, które należy odgadnąć z umieszczonych obok figury rysunków. Początek każdego wyrazu jako też ustalenie wymaganej kolejności tychże — do odgadnięcia. (Dla orientacji podano kilka liter).

„Wirene!” (Warszawa)

34. ZAGADKI

1. Co to za KIT — co nie jest brudno szary?
2. Jaki to MIT — cenniejszy, im mniej stary?
3. Jaki to RÓG — choć krowi, a nie bodzie?
4. Jaki się BUK — w Rumuni li znajduje?
5. Jaki to LOK — nie zwisa nigdy z głowy?
6. A który ROK — najmiłszy jest dla krowy?
7. Co to za PAS — co zgrubia, a nie ścieśnia?
8. Co to za GAZ — co się unosi w pieśniach?
9. Jaki to SEN — nie krzepiąc, śle do grobu?
10. Co to za MEN — jest rzeka, lecz nie sobą?

„John Ly” (Lwów)

Za rozwiązanie podanych zadań Redakcja „Morza” przeznacza 6 wartościowych nagród książkowych. Rozwiązania należy nadsyłać pod adresem Redakcji do dnia 28-go grudnia 1937 r. z dopiskiem „Rozrywki Umysłowe”.

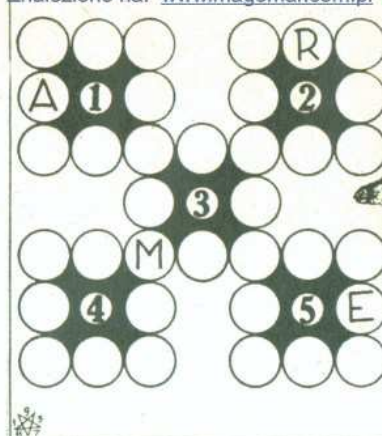
ROZWIĄZANIA

„MORZE” Nr. 10 — październik 1937.

24. ZADANIE LICZBOWE

$$\begin{aligned} 4+26+27+13+3 &= 73 \\ 0+20+21+5+27 &= 73 \\ 5+21+11+17+18 &= 73 \\ 1+10+12+16+9+25 &= 73 \\ 25+9+7+24+8 &= 73 \\ 26+0+15+5+13+14 &= 73 \\ 20+11+22+5+15 &= 73 \\ 1+18+23+12+19 &= 73 \\ 25+19+16+7+6 &= 73 \\ 3+13+25+6+24+2 &= 73 \end{aligned}$$

Znaleziono na: www.magemar.com.pl



Z braku miejsca nie rozpisujemy się o tym „arytmetycznym kawałku”. Uznaliśmy wszystkie inne warianty rozwiązań zgodne z założeniem (sumy 84, 70, 58 i td.), jednak „nie uznajemy” „strachów na Lachów”. Panu N.K.K. z W-wy jednak replikujemy: „zbyteczne tu „jasnowidztwo”, ani „dużo czasu do stracenia”, a wprost... nie należy samemu układać podobnych zadań. Zgoda?

25. PRZESTAWIANKA

„Dopóty dzban wodę nosi, dopóki ucho się nie urwie”.

26. ZAGADKI

- 1) ESTRADA — strada. 2) MALWINA — malina. 3) KARAŚ — kara.

Co to było z tą pierwszą zagadką? A więc: traktor — aktor, kontrakt, kurator — itp. historie. Natomiast: EKRAK — kran (w znaczeniu: dźwig) — przypuśćmy... (12) Poszło?

27. CIĄGÓWKA

Wyrazy ciągówki: KONCERZ — ZARODEK — KAZIA — AKORD — DZIAŁO — OGAR — RABAT — TORT — TOKAJ — JUDRA — AGITATOR — REZOLUT — TWARDO — OBSES — SAG — GRUBOSZ — ZAMSZ — ZAMET — TROSKA — AUTOMEDON — NEAPOL — LIMIT — TAPIR — RZĄDEK. A zatem: „CZĘSTO BŁĄDZI — KTO Z POZORU SĄDZI”.

A tutaj „małkontenci” pisali: „Ten nie błądzi, kto z pokorą sądzi!” lub „Często błądzi — kto za ostro sądzi!” — Właśnie! A my za ostro nie sądzimy, tylko krakowskim targiem* stawiamy... minusik i... do widzenia!

Wszystkie zadania z N-ru 10-go na ogólną ilość 58 nadesłanych — rozwiązało 39 osób, po 3 — 12 i po 2 — 7 osób.

W rezultacie nagrody książkowe otrzymują pp.:

- 1) PULWARSKI Jerzy — W-wa, Łazienkowska 22 — 34.
- 2) KUCHARSKA Eugenia — Gdynia, Bema 3 — 10.
- 3) „JAN — KA” — Rembertów pod Warszawą.
- 4) „JUNONA” — Warszawa.
- 5) KOWALSKI Lucjan — Warszawa, Śto Krzyska 7.
- 6) SZORC Zygmunt — Radom, Prosta 9.

Nagrody niebawem wysyłamy przez pocztę, prosimy o potwierdzenie odbioru.



CENY OGŁOSZEŃ
ZA TEKSTEM: cała strona 1600 złotych; $\frac{1}{2}$ strony 850 złotych; $\frac{1}{3}$ strony 600 złotych;
 $\frac{1}{4}$ „ 475 „ i $\frac{1}{8}$ „ 250 „

PRENUMERATA „MORZA” rocznie 12 złotych, półrocznie 6 złotych i kwartalnie 3 złote

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Widok 10. Telefony: Redakcji 533-90, Administracji 699-66, P.K.O. Konto Nr. 387
Rękopisów nadesłanych Redakcja nie zwraca

Wyd: LIGA MORSKA I KOLONIALNA

Redaktor: JANUSZ LEWANDOWSKI

Opłatę pocztową uiszczono ryczałtem

Druk i ilustracje wykonano w Zakładach Graficznych Dom Prasy, S. A., Warszawa

W Święto Niepodległości

Znaleziono na: www.magemar.com.pl

M5
MAGEMAR



Elementami, na których musi się oprzeć przyszłość państwa, jest silna armia i młodzież. Toteż tegoroczne uroczystości w dniu Święta Niepodległości minęły pod znakiem braterstwa armii i młodzieży.

Przed Wodzem Naczelnym Marszałkiem Śmigłym-Rydzem — zwartymi szeregami przedefilowała młodzież wszelkich ugrupowań, ze wszystkich dzielnic Polski. Obok studenta i ucznia maszerował robotnik, obok górala — kaszub.



Znaleziono na: www.magemar.com.pl

